

PIOTR CHOYNOWSKI

ZDARZENIE





**ZDARZENIE.**

Copyright by Piotr Choynowski 1911.

Przedruki, nieuprawnione przez autora, wzbronione.  
Wszelkie prawa autorskie co do przeróbek i tłumaczeń  
zastrzeżone.



193388

Okladka rysunku Br. Małkowskiego. Marka autorska  
rysunku Jana Rembowskiego.

K-191/88

PIOTR CHOYNOWSKI.

# ZDARZENIE

NOWELE.

WYDANIE DRUGIE.



SPÓŁKA NAKŁADOWA „KSIĄŻKA“, KRAKÓW.

SKŁADY GŁÓWNE: WARSZAWA, G. CENTNERSZWER I SKA; LWÓW,  
H. ALTENBERG; NEW-YORK, THE POLISH BOOK IMPORTING Co.

CZCIONKAMI DRAKARNI LUDOWEJ W KRAKOWIE, UL. FILIPA 11.



32.  
*P. Ch.*

ALTRUISTA.

Koledzy z biura pocztowego mawiali zwykle o Łaszczkiewiczu: „Fujara, bo fujara, ale chłopisko zacne z kośćcami“. Dodawano czasem „pocziwy“, na co Łaszczkiewicz krzywił się jednak nieznacznie. Komu bo tu mówić o rozumach? Czy który z nich przewertował całe „Bez dogmatu“? Ale tak od deski do deski, bez opuszczania? Pożal się, Boże... Myśląc o tym, Łaszczkiewicz wzruszał nawet ramionami.

Nie, żeby go pycha rozdymała, nie! — tylko inaczej rozumiał te rzeczy i koniec. Jego „zacność“ i „pocziwość“, wynikające w ich mniemaniu ze zwykłego niedołęstwa, były właściwie skutkiem owej subtelnej dobroci, co, według Łaszczkiewicza, powinna zdobić każdego prawdziwego człowieka. Weźmy przykład. Z zasady nie należał o zwrot pożyczek, więc niejednokrotnie zdarzało mu się spostrzec, jak pożyczający z góry już łypał oczami w stronę kolegów, w znaczeniu: „tom ci fujarę naciągnął!“ Było mu wówczas przykro, ciężko nawet — lecz czyż dla tego miał napastować ordynarnie, może wymyślać, jak inni? O nie! Łaszczkiewicz cenił się na to zbyt wysoko!

„Być człowiekiem!“ — ta idea rozjaśniała jego

szare życie, niby źródło spokojnej radości. Nie zastanawiał się nigdy nad zawartością maksymy, bo i poco? To trzeba czuć, nie rozumieć. Łaszczkiewicz brzydził się świństwem z równą naturalnością, z jaką unikał koleżeńskich hulanki i wesołych jazd do „tych domów“. Mimo dwudziestu dwu lat był skromny, samotny i dobry, dobry przedewszystkim. Gdyby nie bojaźń szumnych słów, możnaby rzec — szlachetny. Wszelka krzywda rozrzewniała go do łez prawie, niesienie zaś pomocy bliźnim sprawiało mu rozkosz, podobną do zamiejskich spacerów w słoneczne dnie wiosenne. Gdy podczas późniejszego z nich powrotu zaczepiały go w ciemnych uliczkach blade — z krwistemi od rózu i suchot policzkami — dziewczęta publiczne, w jego przepełnione szczęściem serce wdzierła się litość strumieniem gorącym i silnym, jakby po usunięciu słuz głębokiego stawu. Zrozumieć wprost nie mógł, skąd biorą się ludzie, co czyhają na nie w zaułkach, przemycając się chyłkiem, z podniesionemi kołnierzami palt, jakby zawstyżeni własną podłością. Płatna miłość! Brr! Łaszczkiewicz trząśł się z żalu i oburzenia. Już za siebie to może ręczyć!... o, nie, nie! — za nic! Przeciwnie! Walczyć z tą hańbą każdej chwili, wyrwać jej choć jedną ofiarę! Tak łatwo przecież...

Choćby i ostatnio.

Siedzi sobie kiedyś w nędznej garkuchni, czekając na obiad, samotny i rozmarzony, jak zawsze. Wokoło szcęk łyżek o talerze, łomoty biegnącej służby, wścickły bas gospodarza, codzienne, tanie

dowcipy... Jeden z kolegów woła doń przez całą salę, wymachuje rękoma — Łaszczkiewicz nie słyzy. Raptem trącił go ktoś w ramię... „Panie“... Odwraca się niechętnie... i odrazu jest na nogach, spleciony, drżący, jak panienka. Stoi przed nim dziewczyna z „gorącemi ustami“. Tak, tak... przypomina sobie własne nieśmiałe łyski oczu z nad talerza, jakimi zbierał okruchy jej urody, gdy śmiała się w drugim końcu sali głośno, zalotnie. I jeszcze wspomnienie nagłego ucisku serca, jakby przestachu, gdy ją spotkał niespodzianie na ulicy. Tak. Ona. Stoi teraz przed nim wspaniała, o wypukłej piersi i wargach z płonącego rubinu. Łaszczkiewicz nie widzi ust, bo spojrzeć nie śmie, lecz wie o nich... Och, jak wie! Dla tego pewnie nie rozumie, o czym doń mówią. Mówią zaś ordynarnie, z wyrazem nie-dbałej prośby.

— Panie śliczny! Możeby pan kupił kartę, co?

— Kartę?... Jaką kartę?...

— O, sam kwiat! Jak Bożię kocham, ręcznie malowana! Do panny napisać, czy jak... No, panie!... Tylko czterdzieści groszy, dla pana taniej...

Łaszczkiewicz bierze coś do ręki i ogląda, lecz nie kartę, tylko toczone, cienkie w kostce nogi dziewczyny, widoczne z pod za krótkiej sukni. Krew wali mu w skroniach, jak dzwon. Chwila się dłuży.

— Niby weźmie pan, czy nie? Bo ja nie stojkowy, żebym stała godzinę... No?

Głos dziewczyny twardnieje. Łaszczkiewicz wznosi nagle oczy, odbija się od pogardliwego spojrzenia,

przez moment zwisa na ustach — i grzęźnie z krete-  
tesem. Ledwie go można zrozumieć:

— Wezmę... naturalnie, że wezmę... Zaraz... Ile  
to panienska chciała?

Drżącymi palcami mozolnie wyszukuje odłożo-  
nego rubla, „tego, co to na mieszkanie“. Położył  
go lekliwie na rogu stołu.

— Fiu! Bogato! Aż nie mam co wydać...

— Nie... proszę wziąć całego... bez reszty.

Teraz już przymurował oczy do podłogi. Nie  
oderwie ich za nic!

— Ano — brać, to brać! Dziękuję.

Zezem tylko widzi dużą, lecz białą dłoń, jak  
sięga ku stołowi.

— Do wesołego widzenia!

Kłania się w przestrzeń. Odeszła. Uff! Łaszcz-  
kiewicz siada ciężko, a serce łomocze w nim gwał-  
townie, jak po ogromnym zmęczeniu. Nie rozumie  
co prawda, skąd to nagłe zdenerwowanie, ale mimo  
wszystko jest kontent. Ogarnia go miękka rzew-  
ność: dobrze, bardzo dobrze się stało, iż dał wię-  
cej. Taka biedna dziewczyna!... żyć ze sprzedaży  
głupich kart!... Nie codzień trafi się nadwyżka,  
a jak czasem zbraknie, co wtedy? Myśl o wtedy  
Łaszczkiewicz odpycha z niechęcią.

Najciekawsze, że mu wcale nie żal tego rubla.  
Tak się to mówi: „wielki mi pieniąż — rubel“,  
ale mając ich trzydzieści na miesiąc, trudno uda-  
wać Rotszylda. Jak bieda przyciśnie, to i złotówki  
nie wysię z palca — wiadomo.

Żeby się choć puszył, chełpił przed kim!... Ale

nie. Jeśli myślał o dziewczynie, to dla tego tylko,  
iż spotykali się przy obiedzie. Wchodząc do gar-  
kuchni, Łaszczkiewicz wyszukiwał ją oczyma i giął  
się w głębokim, poważnym ukłonie. Znaczyło to:  
„widzisz, szanuję cię jeszcze bardziej“... Giest wy-  
dał mu się pańskim i polubił go, jak polubił otrzy-  
mywany wzamian uśmiech. Różane, wilgotne usta  
rozchylają się, niby nabrzmiałe sokiem pąki, two-  
rząc w kącikach dołeczki, pełne rozkoszy. Właści-  
wie nie jest to nawet uśmiech... błysk prędkiej, coś  
takiego... Podobne uśmiechy mogłaby mieć chyba  
brzoskwinia, wogóle jakaś rzecz słodka i pachnąca.  
Dość, że dostawał od nich zawrotów głowy, a kie-  
dyś zdarzyło mu się medytować pół godziny nad  
przypuszczalnym tajnym ich znaczeniem. Może to  
znak jaki? symbol? Kto wie? Rezultat badań mu-  
siał wypaść pomyślnie, bo Łaszczkiewicz resztę dnia  
chodził z rękami w kieszeniach, pogwizdując.

Nie brał zresztą tych drobiazgów poważnie,  
skąd znowu... Ot, rozrywka, nic więcej. Dopiero,  
gdy dziewczyna nie przyszła kiedyś i wyczekiwał  
na nią daremnie długie chwile, zdumiała go nagła  
w życiu pustka. Jakby mu wydarto coś najdroż-  
szego... Zaniepokoił się. Co takiego? Czyżby?...  
Nie, nie, Łaszczkiewicz nie dopuszczał nawet myśli  
o zakochaniu! Weźmie się „w kupę“ — i da radę  
takim głupstwom! Oho! Żeby tak tracić głowę dla  
każdej niebrzydkiej dziewczyny! Pasował się z so-  
bą walecznie, szukając wspomnień brzydkich i nie-  
godnych, coby mu ułatwiły zerwanie... Ostatecznie  
myślał o niej cały czas, a serce żarła mu troska.



Nie przyszła nazajutrz, ani na trzeci dzień, ani za tydzień... Łaszczkiewicz prawie już nią gardził — i znowu jej nie było... Może nigdy nie przyjdzie? Ach, długie ma troska ręce i żelazne zęby!...

Przyszła wreszcie. Przyszła nawet do Łaszczkiewicza — „pożyczyć“ jeszcze rubla. Rozbłysła przytym tak szczerą ordynarnością, rozwinęła taką „od kuchennych schodów“ zalotność, że Łaszczkiewicz otrząsnął się z niesmakiem. Brr! To go uleczy z pewnością! Bo, że halka brudna, buciki powykręcane... no! — ale dusza, dusza!... Rubla, rozumie się, dał, poprzestając jednak odtąd na ukłonach, pełnych bolesnej pogardy, lekkich, prawie żadnych.

Wkrótce znikła znowu, tym razem już na dłużej. Łaszczkiewicz ucieszył się początkowo. „Phi! baba z wozu, koniom lżej“ — myślał dumnie. Najniesłuszniej zresztą. Teraz dopiero zaczęły się dlań dni, podobne do błotnistej drogi jesiennej: dni wśród opryskliwych rzutów, niby wyboi, i zapamiętań żalonych, jak roztopy, dni szare i długie, długie bez końca. Przestał rozumieć sam siebie. Ku własnemu wstydowi wspominał swoje marzenia o „niej“, o tej nieznaney, jasnej i subtelnej, co kiedyś, w godzinę szczęścia, miała zejść doń różowemi krokami. A tu naraz... On, którego wszelkie plugastwo mierzi, który chce być „innym“ za wszelką cenę, on, Łaszczkiewicz, dla jakiejś tam lafiryndy!... Pochylony nad biurowym stołem, zamyślał się ponuro, bez odpowiedzi.

A te noce, te noce okropne! Wraz ze zgaszaniem lampy stawała przed nim słodka, kusząca,

pełna uśmiechów i cichych słów, naciągających nerwy, jak metalowe nici. Czuł ją przy sobie gorącą, o ramionach prężnych i pachnących, o biodrach krągłych i gładkich, jak atlasowe konchy. Żadnych sukien, płacht żadnych, nic, nic! — tylko przepych piersi rozkwitłych, drżących... och! Zwykle w ciemności Łaszczkiewicz siadał na łóżku i, objawszy rękami chuderlawe kolana, kłął głucho: „Psiakrew! A niech to djabli!“... Zrozpaczony, sprawił sobie prysznic pokojowy i unikał mięsa na kolację.

Nie pomogło. Wówczas począł jej szukać. Całemi wieczorami tłukł się gorączkowo po mieście, godzinami wystawał w pobliżu garkuchni, błądził, jak pies zgubiony, bez nadziei, bez planu... Wiódł z nią wtedy jakieś niewysłowione rozmowy, snuł ciche poema tęsknoty... Aż spotkało go szczęście w obrzydłym mroku deszczowego dnia, kiedy gazowe latarnie w ulicy są niby żółte gromniczne aleje. Błysk twarzy, jak olśnienie. Łaszczkiewicz złożył ukłon radosny, pokorny, bez giestu, na który ledwie mu odpowiedziano. Nie podszedł. Ściął tylko zęby, a w jego zmartwiałych oczach stanęły dwie wielkie, dziecinne łzy. Sechł odtąd i trawił się zwolna, jak zapomniana świeca.

I znowu, gdy już spodziewać się lękał, stanęła przed nim w garkuchni, bledsza jakby, z oczyma niespokojnemi troską.

— Panie! Panie ładny! Znajdzie pan tam jeszcze z rubelka?

Ledwie wymiamlał zbiełałemi ustami:

— Panienska tutaj?... Rubla?

- A właśnie, właśnie — rubla!  
 — Zaraz... Tylko że nie mam przy sobie...  
 — Więc jak niby? Bo mnie przypiliło na gwałt.

No, panie...

Trącała go lekko kolanem, patrząc przyzwalającą, z uśmiechem.

— A może panienska do mnie przyjdzie?... Za rogiem, bliziutko...

Minę miał tak przerażoną, iż parsknęła mu w nos.

— Przyjdzie panienska, przyjdzie!... Tylko się pilnować, żebym nie czekała!

Łaszczkiewicz skłamał. Stało się podobnie, jakby ktoś, wiedząc o pieniądzech w kieszeni, jednocześnie o nich zapomniał. Bez premedytacji — tegoby Łaszczkiewicz nie potrafił nawet. Po prostu opanowała go nagle myśl, silniejsza od wszystkich rozumowań — i skłamał. Co więcej, kpił sobie z całej historii. No, tak, tak — skłamał! I cóż z tego? Inaczej znikłaby znów na całe tygodnie, a on nie może przecież... Cóż szkodzi zresztą zaprosić ją do siebie, porozmawiać pod dachem? Opowie, co się z nim dzieje, wszystko opowie... Skłamał, i właśnie tak jest dobrze! Bo żeby z kim innym, ale on, Łaszczkiewicz!... „Przyjdzie, przyjdzie!“ grało w nim do taktu olbrzymich kroków, jakimi szedł do biura. A tam, między foljami, przewijały się niemądre wyrazy, w rodzaju: „Moja słodka“. Uśmiech — i nic więcej.

Wracając do domu z ładunkiem przeróżnych, a nabytych za ostatni grosz specjałów, Łaszczkie-

wicz był usposobiony lekkomyślnie. Rozpychając się zwycięsko, zaglądał pod kapelusze spotkanym damom, bez potrzeby, ot, tak sobie — „czy mu to niewolno?“ Zobaczywszy nawet w lustrze swą żółtą, piegowatą twarz o rybich oczkach, nie skrzywił się, jak zawsze. Co tam! ujdzie, szczególnie jeśli włożyć najpiękniejszy — ten w groszki — krawat. Wyświeżony, ustawił na szafie lampę z bibułkowym abażurem i, sfałdowawszy troskliwie nowe spodnie, zabrał się do czytania rozdziału encyklopedji Orgelbranda, co zwykł był czynić co dnia. Przerobił już w ten sposób trzy pierwsze tomy, do E. Dziś nie szło mu jakoś. Mył właśnie po raz drugi zimne, jak lód, ręce, gdy dobiegł go szelest ode drzwi i zaraz głośny śmiech.

— Cóż to się pan pucuje, jak na wesele? Co?

Zmieszany, z ręcznikiem w mokrych dłoniach, Łaszczkiewicz miedlił coś niezrozumiale. Dziewczyna rozglądała się po pokoju swobodnie, jak u siebie w domu, nie zwracając uwagi na jego nieśmiałe, zachwycone spojrzenia. Co chwila podchodziła do ścian, do mebli, wiedzona dziecinną ciekawością.

— Wie pan, wcale mi się tu podoba... Tyle obrazków, aż tapety nie widać! A moja karta jest? Ta, co to pan wie... — zaśmiała się — o jest, jest! I światło czerwone, jak u panny... Naprawdę ślicznie!

Łaszczkiewicz rósł. Zaczyna się wyśmienicie, żeby tylko coś powiedzieć, zacząć jakąś rozmowę. Bo wodzić za nią oczyma, jak osieł, nie dosyć — sam czuje. Ale co? Że jej pięknie w tym nowym ucze-

saniu? Że jej piersi... ba, jej piersi! „I to bez gorsetu“... konstatawał z westchnieniem. Zresztą nic. Szcześnie spostrzegła zastawione na stole przysmaki.

— O, funda! Tak to lubię!... Głodna ci jestem, jak dwa psy! No, panie! nasmarować masłem? Prędeż! Ruszać się! Ostrzej!

Łaszczkiewicz grzecznie wziął pół bułki i kręcił ją w palcach niepewnie. Pochłaniała go myśl o tym, jak wyznać jej mękę ostatnich tygodni, jak wstrząsnąć nią, poruszyć!... Tymczasem wszystkie dawne uczucia zabijała sama jej obecność. Był szczęśliwy — i nie widział na to sposobu. Ona zaś jadła chciwie, miarowo kiwając założoną nogą. W przerwach między kęsami rzucała pytania obojętne, nieciekawe — tak, byle coś mówić.

— Pan pracuje na poczcie?

— Na poczcie.

— A ojciec tu mieszka?

— Nie, umarł.

— To pan sierota... A matka żyje?

— Nie, też umarła.

Zdziwiła się.

— Patrzcie-no... umarła... I na cóż to?

— Tak... Przeziębła się i umarła.

Znowu zaległo ciężkie milczenie. Teraz już Łaszczkiewicz zaczął mówić, z pewnością! Uszczypnął się w rękę, raz i drugi... Nic. Kroplisty pot wystąpił mu na czoło. Mówić, mówić! Opowiedzieć wszystko, co do joty! Tyle rzeczy... Kopnął się mocno pod stołem. Nic — patrzył w nią tylko,

jak w tęczę. Aż, odsunawszy talerz, spojrzała nań podejrzliwie.

— Czego się pan gapi, jak wrona w gnat, co?! Że tak jem niby?!

I podniecona własnym przypuszczeniem ciągnęła w rozdrażnieniu:

— A bom od rana uczciwie nie zjadła! Wie pan teraz?

— Jak to?! Dla czego?

Łaszczkiewicz przeraził się na dobre. Że też mu do głowy nie przyszło. Głodna! Szukał gorączkowo w szafie, wyciągnął trochę suchej wędliny, lecz ona odrzucała teraz wszystko z niejakim tryumfem.

— A gorącego przez tydzień nie widziałam! Tak, panie!

— Dla czego?! Co się stało?

— Iii... nic! Tylko mój malarz się wściekł i nie daje więcej kart sprzedawać. Nie trzeba, mówi.

Łaszczkiewicz uczył nagle ostry ból. Jakby drzazga za paznokciem.

— Co za malarz?!

— Taki jeden... On ze mnie obrazy robił.

— Obrazy robił!.. Aha...

— Żadne „aha“! Leży już piąty tydzień, ani nóżką nie drygnie!

To głupie serce! Łaszczkiewicz rady sobie dać nie może.

— Cóż mu to?

— Suchoty!... co ma być? Pluje, aż się rozlega.

— Doktor panience mówił?

— Pewnie, doktor... Wywalić zaraz rubla, co? Niema! Chciałam sprowadzić... student jeden, nawet familjant — to ten znowu!... „Idź!“ — mówi: „idź! Ale nie wracaj... sam zdechnę!“ Ledwie to zipie, a będzie zazdrością mordował! Z kartami też... „żebym kogo nie poznała“... Skaranie, nie los!

— To czego panienka przy nim siedzi?

— Bo ja sama wiem? Tak...

Zamyślili się oboje. Łaszczkiewiczowi goryczssała piersi nudnie i boleśnie. Otóż i koniec marzeń! Już niema co wyznawać, nic już nie pomoże! Innego kocha... Takie dziwne: kocha innego, który jest zły i chory, a przecież on, Łaszczkiewicz, dla niejby wszystko... wszystko!... Nawet się nie zawstydził tej myśli. Co tam! Znowu nadejdą te okrutne tygodnie beznadziejnej tęsknoty. Od jutra zaraz... wie dobrze, wie! Zgnębiony, nie patrzył już na nią, ani dbał o przeciągnięte milczenie.

— Cóż to pan zaniemówił? Mam iść, czy jak? Ładna zabawa!

Spojrzał jej w oczy żałośnie. Poco dręczy?...

— Nie, nie!... Tylko, że ja panienkę... Kocham, więc mi trudno... Trzeba zrozumieć...

Roześmiała się w głos.

— Już kocha?... Piorunem to u pana idzie. Mojeż to... kocha! A czy bardzo?

Wstąpiła weń nagła otucha. A może jednak... Zaczął mówić szybko, zachłystując się słowami:

— O, panienka nawet nie wie!... Ja nigdy jeszcze nie kochałem, ja... To wprost straszne, taka

męka. Odrazu, przed tą kartą jeszcze... Jak tylko panienkę zobaczyłem... Sypiać teraz nie mogę, ani jeść, nic, nic — tylko o paniencie myślę... I w biurze, i w domu, i na ulicy... To straszne! straszne!

Zaśmiewała się, stojąc przed lustrem, a on mówił coraz płynniej, goręcej... Nie gniewa się, wcale się nie gniewa! Taka dobra, kochana... To nic, że się śmieje! — siedział przecie, jak mruk, i naraz taka wymowa... Każdegoby rozśmieszyło! Rozumie się!

— No dobrze, właśnie dobrze! Wierzę, że kocha! Tylko czego się napuszył, jak sowa? Ani rozbierze, ani co!

Łaszczkiewicz osłupiał. Lecz już mu siedziała na kolanach, rozbawiona.

— Ano już prędzej! Nuże! Godzinami czekać!

Myśli Łaszczkiewicza buchnęły radością, jak ogniem. „Czekać... rozbierze“... Więc też kocha! Po swojemu, ale kocha! Choć szorstko... Zakotłowała się w nim wszystka krew, a serce jęknęło rozkoszą, jak dzwon. Te piersi, jej piersi... pod ręką! Cała jej postać prężna, gorąca!... Drżącymi palcami jął szukać haftek, guzików, niedbały, czy się rozdziera, nie słysząc jej protestów, byle prędzej, prędzej!

.....

Po długiej chwili ozwał się cichy, wdzięcznością przepojony głos Łaszczkiewicza:

— Panienko...

— Mańka mi na imię.

— Maniu!... Tak chcę bym co dobrego ci zrobić...

— Dobrze, dobrze!... Nie w usta! Nie cierpię, żeby każdy... Masz, tu całuj!

I znowu kiedyś:

— Posłuchaj... Gdybyś zechciała... Mam już trzydzieści rubli na miesiąc.

— To sobie miej, głupi! . . . . .

. . . . . Spójrz-no lepiej, która godzina?

— Nie, nie... wcześniej! Dopiero ósma.

Zerwała się pośpiesznie, z niezadowoleniem.

— Ładne wcześniej! . . . . .

. . . . . Teraz mi znowu tamten łeb urwie!  
Bodaj to!

Wspomnienie o „tamnym“ dotknęło Łaszczkiewicza boleśnie. W takiej chwili... No, ale trudno, delikatności nikt jej nie uczył. Nie rzuci go wreszcie... chory przecież... Pytał już tylko nieśmiało:

— Maniu... Przyjdiesz kiedy?

— Zobaczą, zobaczą!... Nie nudź!

Brakło mu odwagi nalegać. I tak ją spotka, będzie w tym, oho! Podawał kolejno różne części stroju, które ona brała, nie dziękując w pośpiechu, ani patrząc. Taki już, widać, charakter! Gotowa do wyjścia, tłuła się jeszcze chwilę po pokoju, niby w oczekiwaniu na coś. Burknęła wreszcie:

— A te pieniądze... będą?

— Prawda, prawda! przepraszam...

Że też mógł zapomnieć! Aż wstyd! Szybko, możliwie najprędzej przerzucił kieszenie. O, jest,

jest, dzięki Bogu! Tylko czemu ona tak dziwnie patrzy?...  
— Cóż to znowu za rubel?

Zdumiał się.

— Jak to?

— No, gdzie się pchasz z rublem, pytam?

Łaszczkiewicz zbladł. Co to?! Czego ona chce?! Czyżby?... Nie, nie! nie może być! To jakieś nieporozumienie! Zaraz, powoli... bez gorączki...

Z niemą prośbą w oczach bełkotał jęklonie:

— Poczekaj... Przecieżes sama w południe... przypomnij sobie...

— Co „sama“? W jakie południe?! I dość tego tykania! Patrzcie go, rubelkiem wywija, cwaniaczek! Nie dasz rady — wyjmij-no jeszcze ze dwa! Myślisz może, żeś na głupią trafił — oho!

Tak, tak! Więc ona za pieniądze! A jemu się zdawało... Boże, Boże! Mówił do niej takie rzeczy!... całą duszę!...

— Ja... ja nawet nie mam dwóch rubli... Ja myślałem...

Poczerwieniła z wściekłości.

— Coś tam myślał? Co?! Toś ty mnie z mańki wziął, szczeniaku?! Do siebie kazał przychodzić — patrzcie-no się — amory rozpowiadał... żeby taniej! A możeś myślał, że ja tak po czwartakach... za rubelka... co?! Albo, że na twoje piegi lecę, na chude gnaty?! Ty, głowo barania!!

Ukrył w dłoniach twarz, jakby się broniąc. Te brudne, plugawe zdania! Co za wstyd! Jaka straszna hańba!



— A nie przynies mi ty jutro na obiad!... Ja ci pokażę! Kartę za rubla kupić, dobrodziej! Rozpowiem ja koleżkom!... I do biura trafię, żebyś wiedział, kulfonie!! Słyszysz?!

Drżąc, jak w febrze, wyszukał gdzieś ostatnie pół rubla. Wręczał jej zdaleka, ostrożnie, by nie dotknąć.

— Myślisz, że nie wezmę?! Nie bój się, uczciwie zarobione!

Huknęła drzwiami, aż talerze podskoczyły. Łaszczykiewicz stał chwilę bez ruchu, poczym doszedł do łóżka — znowu stanął — zległ wreszcie twarzą w poduszki.

BAROWSKA.

*Matce mojej.*

Przychodzi wczoraj ta stara jędza Keblowa i mówi sobie niby spokojnie, patrząc w herbatę:

— Chciałabym coś paniusi powiedzieć, ale proszę pannie Wandzi ani słóweczka...

Barowską aż tknęło.

— Co takiego?!

— Nie, nic ważnego... ot, młodość!... tylko Sochacki u nas wieczorkiem długo siaduje.

— I pani dopiero teraz mówi?!

— Kiedy mi panny Wandzi było żal. Takie to ładniuchne, młodziuchne, proszę paniusi... Wczoraj wreszcie słyszałam, jak go w nocy wpuszczała... Pocichuteńku, delikatniusio, żeby mnie niby nie obudzić, ale... he, he... starość ma lekki sen... nie obliczyła się, niebożątko... he, he...

Barowskiej chciałoby się włosy rwać, kiedy sobie ten udanie dobroduszny, zjadliwy śmieszek przypomni.

— Uch, jędza! Że jej Heńka tłucze się gdzieś, we światach, i ruble zbiera, to wszystkieby na ulicę posłała! Niedoczekanie twoje, stary grzybie!

Rozpacz i głucha wściekłość dławi ją od samego rana. Niby to sprząta, jak codzien, niby gospoda-

ruje, a najwięcej włóczy się po mieszkaniu i miętosi w sobie beznadziejne myśli.

Co teraz będzie? Mój ty kochany Boże, co teraz będzie? Tego jednego bała się przez całe życie, jak trądu, nawet myśli nie dopuszczała, żeby można... tak zwyczajnie, bez małżeństwa... jak psy!... A tu rodzona siostra... Oj, Wanda, cóżes ty najlepszego zrobiła?!

I skąd jej to, skąd? Uczyły ją przecie z matką, przestrzegały. Dziewczyna była, jak łąza, a dumna, a zawzięta... żadnych tam koleżanek, żadnego tałałajstwa, fircyków różnych! Nosiła się po ulicach z tą swoją urodą, niby ksiądz z sakramentem — zaczepiać się durnie bali. Zwyczajnie panna z dobrego tonu, chyba tylko służącej z tyłu brakło...

I tu naraz... trach! Jak cegłą w łeb! Mój Boże, mój Boże!

Żeby jeszcze lata jej szły, albo o konkurentach ani słychu, żeby z rozpacz, no... Ale miała takich zacnych, porządných ludzi, ze stanowiskami, z pieniędzmi, nie byle studencinę! Byłaby panią na całą ulicę, co tam! — na trzy ulice! Jedwabiów, strojów, ile dusza zapragnie, teatry, bale! Ichby też wyciągnęła z tego błota, co już po szyję zalewa... ech! Koniec. Urwały się wszystkie marzenia, już teraz tylko uszy po sobie i śmierci czekać. Taki, widać, pieski los! Niema rady...

Ręce Barowskiej jakby z drewna: każda robota z nich leci! Stała u okna i pochlipuje z cicha bez jednej z oczu łązy. Jej sucha, wyniszczona twarz, o czarnych, wiecznie niespokojnych oczkach, ma

w sobie coś mysiego; podobieństwo zwiększa się jeszcze wobec niepewnej barwy jakby szarawych włosów, wymykających się kosmykami, bądź całymi pasmami z pod niedbałego uczesania, niby strzępki sierści na wyleniałej skórze. Stała i bezmyślnie patrzy na podwórko. Obrzydły deszcz listopadowy, drobny, a bezustanny, zdołał już zamienić jego niebrukowany środek w bajoro, gdzie chlapią się z rozkoszą brudne dzieciaki, zrumienił ślepią ścianę przyległej kamienicy, pokrył wilgotnym szklivem dachy nędznych oficyn. Z niewielkiej fabryczki sztucznego lodu raz w raz wydobywa się ze świstem strumień pary przy akompaniamencie miarowych, jakby młota, uderzeń.

Ten jednostajny łoskot, nielitościwe wrzaski dzieciarni, tramwajowe dzwonki i huk dorożek z ulicy wtłaczają w duszę jakiś ciężki niepokój, oczekiwanie, że lada moment wedrze się w ów rozszalały harmider krzyk przeraźliwy, co zgłuszy wszelkie inne odgłosy, a potem będzie już tylko gruchot walących się ścian, ciemność, jęki i rozpaczliwe wołania. Tymczasem nieustanny na mózgu ciężar.

Wzrok Barowskiej odwraca się niechętnie od znanego obrazu, przechodzi ponad niskimi dachami oficyn, wałęsa się po dalszych podwórzach i gaśnie: wszędzie te same ślepe ściany, wilgotna blacha, czarna od węgla ziemia, sztywne szeregi kominów i gęste dymy w deszczowej siatce.

— Jak życie, jak moje życie — myśli. — Wieczne łązy, niby ten jesienny deszcz, zgryzoty, owe czady



dymne, nad dachami zwisłe, zaduch, brud i ciągły strach przed czymś gorszym jeszcze. Och! ni wytechnienia chwili, ni odpoczynku!

Widzi się małą dziewczynką wobec groźnego, wiecznie pijanego ojca, gdy w stół pięściami wali i wyklina, a matka w kącie płacze głośno, załóżnie, jak skomli pies pobity; widzi, po jego śmierci, ów pokoik-norę obok schodów, zawsze pełną gorącej pary, gdzie długimi godzinami niańczyła Wandę za stosami brudnej bielizny; widzi się podlotkiem, staniczką z magazynu, o bladej twarzy i znużonych oczach, gdy pędzi przez ulice, nurkując wśród tłumów, popychana, szturchana, aby prędzej, aby prędzej, bo to karnawał, komorne zaległo, roboty od rana, a siostra drze się pewnie o kolację. Praca, praca, praca!

— I to była młodość. Jedyne pragnienie — wyspać się, odpocząć; jedyna radość — spacer w Łazienkach latem. Mój ty kochany Boże!

Rozżalone, gorące łyzy wymykają się z pod powiek i biegną szybko po wpadłych policzkach. Barowska ociera je machinalnie brudnym fartuchem, wzdychając ciężko.

Albo i to zamęcie... Tyle sobie za czasów narzeczeństwa obiecywali, taki raj! Myśleli, że niebo się chyli, cały świat, niby na święto, strojny... A jakże! nie dla nas szczęście, płacz chyba i zgryzoty! Cała radość, jakby słoneczny promień w więziennej pod wieczór celi: chwilę ręce i twarz popieści, złote iskry we włosach zapali, i już tylko sufit jaśni, ku oknu śpieszy, nim krwią się wreszcie

zaleje i skona. A smutek i tęsknota jeszcze zawziętsze później...

Czemu radości tak mało, dla czego?

Kilka pierwszych miesięcy gorących, niesytych, nieprzytomnych prawie... Taki był dobry: matkę, siostrę do domu wzięli. A po roku już pierwsze dziecko, choroba długa, co urodę skradła, drugie dziecko, znów córka, bezrobocie, bieda, zdrady mężowskie, kłótnie ciągłe, ujadania, w domu niby chmury duszne.

— I tak ciągle, i będzie ciągle... coraz gorzej... Znikąd nadziei ani kropli... Nędza, jak ten pies przy nogach...

Dzwonek.

Barowska przybiera szybko wyraz zwykłej oschłości.

— Może to ona? Chyba nie... zawczasie... nie, Malewicz przyszedł z uniwersytetu.

Z przedsionka, jednocześnie służącego za kuchnię, dobiega łoskot gniewnie zrzucanych kaloszy i ostry głos:

— Mydliny aż na Krakowskim cuchną, zaduch w domu od rana do nocy!

Starczy kobiecy dyszkant tłumaczy się pokornie:

— Jak to przy praniu zawsze, proszę pana.

— Pranie, pranie! Też, psiakrew, manja szczególna! Od poniedziałku w domu wysiedzieć nie można, teraz piątek — i znowu. Pułki babcia opiera, czy ki djabeł?!

— Przeplókuje koszulki dla dzieci. Mało tego

mają, a na pensji o byle co, o najmniejszy pyłek, zaraz kara.

Barowska wsłuchuje się w mrużane już tylko przekleństwa i wzbiera w niej głucha nienawiść.

— Studencik! galant! zgrał się gdzieś na bilardzie i fumy pokazuje! Płaci dwadzieścia rubli za życie i mieszkanie, a mydliny mu szkodzą! Widział to kto?!

Na zdawkowe „dzień dobry“ Malewicza odpowiada zaczepnie:

— A no dobry, jak dla kogo. Dla pana, wiadać, niebardzo, kiedy od rana djabły starym ludziom rzuca!

Student z jadowitym uśmiechem, niby wzdychając ciężko:

— Święta racja! Wszystko brak dworskości, poloru. Ale gdzie nam, biednym chudopachołkom! Łaskawa pani zato, co wyraz, to róża z ust — pachniałoby tu, jak w ogrodzie, żeby nie mydliny. Tek! A więcej nic mi łaskawa pani nie zakomunikuje? Więc nie? Nic? Bardzo, bardzo szczęśliwie.

Odchodzi, zgięty w przesadnym ukłonie.

Barowską aż podrywa, żeby mu nawymyślać, ale ogranicza się tylko do wytrząsania pięścią przed zamkniętymi drzwiami. Nakrywając do stołu, wyklina półgłosem:

— Ananasy majowe! Gdyby nie twoje głupie dwadzieścia rubli, oduczylabym cię kpin, smarku! Ze schodów i won! Nic, szelmy, cały dzień boży nie robią, wyleguje się to do dziesiątej, a później doktory, adwokaty, bodaj was!... Darmozjady, be-

stje! Takiemu to byle lafrować, dziewczyny na złe naciągać.

Poruszyła w sobie na nowo całą złość. Niecierpliwi ją nawet trwożliwa mina matki, od chwili już czekającej u progu. Rzuca krótkie:

— Matka czego?

— Chciałam... bo widzisz... niedługo Wandzia przyjdzie, więc żebyś nie za ostro... Gniewasz się zaraz, a tu jedynie łagodnością... Bo widzisz...

— Pewnie! łagodnością! Może ją matce zostawić, co? Rozpuściła matka ojca, to z dziewczką da sobie radę! Jakbym patrzyła na to... „Wandziunia, Wandeczka, królewna moja“... szelma jedna!

— Tylko proszę cię, Helu...

— Niema o co prosić! Jakem mówiła, że się dziewczyna nie potrzebuje wyprowadzać, że u swoich pewniej, to kto mnie przekonywał? Matka bo zawsze swoje! „Dostała podwyżkę, ciężko pracuje, nie ma dziecko własnego kąta, w alkwie powietrza mało“... Powietrza! Będzie go miała tyle, aż spuchnie, zobaczy matka! Przyjdzie jeszcze bękarty niańczyć... Ale ja ją nauczę rozumu! Poczekaj!

— Helu...

— Helu, Helu!... Wszyscy jęczą po niewczasie, mnie tylko wypada za was myśleć... Dzwoni ktoś! Lepiejby matka otworzyła, bo stół nie nakryty, a jeść to każdy woła!

Jakby słoneczny strumień i ciepły wiatr wiosenny wdarły się do mieszkania hałaśliwe śmiechy i tupotanie nóg dziecięcych. To Barowski, zabrawszy dziewczynki z pensji, kupił po drodze paczkę

tanych cukierków i przekomarza się teraz z córkami, udając, że wszystko odda matce. Jego okrągła twarz z dużymi, żółtymi wąsami wyraża serdeczne rozradowanie; podniesiona z łakociami ręka tryumfuje nad usiłowaniami wieszających się na niej dziewcząt. Napróżno młodsza, energiczna, puciołowata osoba, musnąwszy po drodze rękę matczyną, przystawia sobie krzeselko i jeździ z nim po pokoju za uciekającym ojcem; nie pomaga i wstaWiennictwo przywołanej babki. Krzyki, bieranina, chichoty.

— Czego się wieszacie? Powiedziałem raz!

— Oddaj! Babciu! niech on odda!

— Figa! Wszystko dla matki.

— Oddawaj, nie oszukasz! Mańka, trzepaczką ściągnij!

— Patrzcie-no, smarkate! Od ziemi to nie odrosło...

— Mańka, z drugiej strony! Mocno ciągnij! Ha, ha, ha!

— Rękaw! Ostrożnie!

— To oddaj sam! Ha, ha, ha!

Zatykając uszy, Barowska przerywa sucho:

— Nie robilibyście hałasu! Bez tego aż w głowie huczy.

Ożywienie zgasło natychmiast. Barowski siada ciężko przy stole, ocierając pot z czoła kraciastą chustką; dziewczynki milkną, jak przestraszone ptaszki. Starsza, o bladej, matowej cerze, zbliża się do matki i nieśmiało całuje ją w rękę.

— Chcesz czego, dziecko?

— Pani kazała mamusi powiedzieć o wpis. Że już dłużej czekać nie może.

— No dobrze, dobrze... Idź się bawić.

W ponurym zamyśleniu gładzi ją po włosach. Mała przymyka oczy, uśmiechając się cichutko.

Podczas tej rozmowy Barowski najwidoczniej źle się czuje. Milczy chwilę, wreszcie, energicznie przejechawszy ręką po czole, zwraca się do żony, jakby z usprawiedliwieniem:

— Wiesz, ten gruby Malinowski znowu dostał podwyżkę... Daleko zajędzie!

— Malinowski?... A no tak! Każdy dostaje, pieniądze leją się na innych, jak woda, byle rękę podstawić — ty jeden skonasz na swoich siedemdziesięciu rublach. Co tam! Dla ciebie i tak starczy, nieprawdaż? Byle móc w karciecia zagrać, piwka, koniczku się napić.

— Kiedy bo ty zaraz... Zdaje ci się, że jak człowieka wysła na linję w mróz albo chlapaninę, to nic. Że mu wystarczą te dwie czy trzy zabrane z domu bułki.

— Właśnie, może ty nieszczęśliwy! Najgorzej to ci głód dokucza. Z głodu pewnie piliście ostatniej niedzieli u tego latawca ze Złotej, co? Kompanijka szanowna, szubrawcy!

— Oho! Wsiadła na łysą i wio!

— Może nie bywało? Możem nie musiała wystawać nocą pod knajpami, żeby coś z pensji dla dzieci się zostało?! Niech tam zresztą! Milsze ci dziewczki od żony, niech tam! Ale słyszysz przecie,

że trzeba wpis płacić! Skąd będę brała na wszystko? Skąd?!

— To je odbierz... dawno mówię. Kogo nie stać na zbytki...

— Ale na łotrzyce różne, lafiryndy stać?! Tfu!... Odbierz! Żeby ci może później córka po rogach się tłukła, jak inne, co? Taki Malinowski...

— Dużo ty wiesz... Malinowski! Podlizuje się, szelma, inżynjerom, czapeczką temu, czapeczką owemu, to i jedzie.

— Patrzcie go, jaki honorny! Barowski, widać, że z panów... Nie bój się, honoru ci nigdy nie zbraknie, abyś tylko udźwignął! Teraz ci Wanda nowego doda.

Barowski zdumiał się.

— Co...o? Coś tam wymyśliła? Gadaj!

— A nic. Puszczą się, zwyczajnie.

Zerwał się na równe nogi. Pyta surowo:

— Co ty? Bzika masz?! Wściekłaś się z tej żółci? Wanda!

— A tak, tak, Wanda! Czego ślepie wytrzeszczasz? Wyrażnie mówię: puszcza się z Sochackim. Możesz zmartwiony, że nie z tobą? Łajdaki wszystko!

— Nie bredź! Gadaj, jak było?!

— Zwyczajnie, najzwyczajniej na świecie... Tu jeszcze zęby do siebie suszyli, a teraz u Keblowej randki. I tyś rączkę przyłożył, aniele! Oho! Kto gałgana do domu wpuścił, kto mu pokoje odnajmował? Poznali się gdzieś na koniackach, i zaraz przyjaźnie, amory... „Wykształcony, a ludźmi nie gardzi“... Ano, nie pogardził! Twoja robota, kotku!

— A, pies!!

— Wszyscyście jednacy!

Ale on już nie słucha. Czerwony z gniewu, wytrząsa zaciśniętymi pięściami.

— A pies jeden! A łajdak! Poczekaj, ja ci pokażę! Ja ci żebra zmacam uczciwie! Panienci mu się zachciało, patrzcie-no! Dam ja ci panienkę, draniu! miesiąc z nią w szpitalu poleżysz! Poczekaj, poczekaj, poznasz Barowskiego lepiej!! „Lud pracujący, wyzyski“... Ja ci „lud pracujący“ czerwönką wypiszę, ja cię wyzyskam! Poczekaj! A szuja podły, arcypies!

I do żony ostro:

— A tyś gdzie oczy miała? Jęzorem dzień boży, jak młotem, walisz, zazdrością życie trujesz, a rodzoną siostrę prześlepiłaś?! Ech, psiekrwie!

— No, no! Aby sobie mną zębów nie wycieraj! Czemuś stróża sobie do dziewczki nie zgodził? Idź, upilnuj! Razemeście w konszachtach byli, to przyjaciela pytaj!

— Już ja mu pokażę przyjaciela! Dawać obiad! Ja do niego pójde, ja mu lekcję przepowiem, aż się prosić zacznie! Nic z tego, taki synu, jakem Barowski, nic z tego! Obiad prędeż! Ja mu...

Urwał na dźwięk ostro szarpniętego dzwonka. Ona, Wanda! Strasznie zmieszany, siadł do stołu z niewyraźną miną, chrząkając niezgrabnie.

Z przedpokoju słyhać szelest zrzucanego odzienia i szept przyciszony.

Weszła. Ze starszych nikt ani spojrział. Cała jej postać podobna do cięciwy napiętego łuku: przez

suknie widzisz, zda się, mięśnie, gotowe do odparcia. Piękna twarz blada, jak płótno, pod zwojami przepysznych kasztanowatych włosów.

Na zwykłe powitanie Barowska nie odpowiada ani słowem. Gdy Wanda pięści nadbiegłe dziewczynki, złowrogie „Siadać na miejsca!“ przebiega, niby lodowe tchnienie. Przez chwilę w pokoju cisza, aż dusi; możnaby liczyć uderzenia niespokojnych serc. Krótkie, boczne spojrzenia, jak sztylety.

Drżą, chylą się dumne źrenice... Już, już ugięły się ciężkie powieki, jeszcze moment, a padnie cień na błękity, chwila i... Nie, oto skamieniały znów w niemiej odwadze.

Płomień raptownego gniewu bije na twarz Barowskiej; nachylona ciałem nad winną, wyrzuca zdania ciche, syczące, jak świst bicza w powietrzu:

— Winszuję ci, siostrzyczko... Podobnoś zamąż wyszła, a że bez ołtarza i księdza, to nic... I tak można sobie dobrze robić, prawda? Ale czemu w tajemnicy to trzymasz, najbliższych radości pozbawiasz? Co, aniele? Co, księżniczko perska? Ramionkami wzruszasz, buzieczkę krzywisz... Nie pasuje do dobrego wychowania panienki? Uszka raz?... A w nocy chłopu koszulą świecić, to można? Ty, suko!!

Z piersi Wandy jakby zduszony jęk. Dzieci zastygły w przerażeniu. Próżno Barowski raz w raz powtarza bezradnie:

— Miarkuj się, Helko!

Próżno za rękaw ją ciągnie, ona opędza się tylko machinalnym ruchem. Już teraz nie żałuje głosu.

— Co ty sobie, dziewucho, myślisz?! Nie wiesz to, na jakąś drogę weszła? Od rzemyczka do koniczka, aniołku! Tak! Z początku jemu, później koledze, a dalej z rąk do rąk, aż do rynsztoka. Nie pamiętasz, jak z Heńką było!? Jeśli cię przyparło do niewytrzymania, czemu zamąż nie idziesz, co? Wąsików ci ładnych potrzeba, studencików, lalusiów, co? Ty, ścierko studencka! I na kogoś wreszcie poleciała, na kogo? Obszarpaniec, całych butów to nie ma!... Tyle co mundurzyną poświęci, dziewczkom głowy zawraca... Szelma! Nie jedną on cię ma, jakbym widziała, kochaneczko!...

Wanda zrywa się gwałtownie. Rozjuszona, sieką się oczyma poprzez stół.

— Aby mi jego nie tykaj! Wara! Nie wam, hołocie, równy — rozumiesz!! Ty, jędzo, ty! Zazdrość ci cudzego szczęścia, szponamibyś każdy promyk wydarła! Siostrunia ukochana! Nie wiem, myślisz, o co ci chodzi? Póki tu byłam, orałaś we mnie, jak w siwego konia, zabierałaś całą pensję, wszystko, do ostatniego łachmanka z resztek! Mówiłam co? Skarżyłam się? Nie, ani słowa, ani pary z ust! Ale tobie mało, oho! Chciałoby się moim kosztem życie sobie poprawić, żeby mój stary mąż protegował, pieniążki sypał... Tak, tak, siostruniu! Sprzedałabyś... Ale to się nie uda! I ja chcę trochę dla siebie! Właśnie! Nie przywiązano mnie do waszej nędzy... To trudno... Urwałam się i już! Ciagnijcie sobie dalej sami... Ja, ja...

Wybuchła głośnym płaczem. Dzieci za nią. Babka,

oddawna już dająca Wandzie rozpaczliwe znaki, wprowadza ją szybko do sionki:

— Chodź, dziecinko, chodź! Kociak mój naj-  
milszy, królewna mała...

Barowska wodzi przez chwilę osłupiałemi oczyma, niby szukając sprawiedliwości. Co to znaczy? Kto tu winien? ona czy Wanda? Jedyłą odpowiedzią ogólny płacz. „Zwarjować chyba przyjdzie!”

— Czego się drzecie, smarkacze! Cicho mi zaraz!

Dzieci w bek jeszcze głośniejszy, aż ojciec ujął się za niemi.

— Samabyś mniej się darła, o!

Tego jej tylko było potrzeba.

— Patrzcie-no, obrońca! Ojcostwo mu się przypomniało, widział to kto?! A że w domu głód, nędza, nie wiesz?! Nie wiesz, że żona i dzieci nie mają w czym chodzić, że wpis niezapłacony, a gospodarza wstyd spotkać? Nie wiesz?! Że babka nocami obce brudy pierze, aby wam brzuchy napchać! Obrońca! Przepija, szubrawczyzna, wszystko, a ojciec niby!

Barowski zatyka uszy z wściekłością.

— A psiakrew! Szczeka jęcza od rana do nocy, aż bębni puchną! Zwieję ci kiedy do Ameryki, jak Bóg na niebie — dopiero będziesz wyła!

— A jedź, jedź! niech się to raz skończy! Niech się wali, niech się pali, niech dzieci z głodu konają, niech idą na żebry, pod kościół, byle raz koniec! Jedź do Ameryki, do Australji nawet! Ja ręce rozkładam... Sił już nie mam dłużej! Matka

zabija się w pracy, dzieci głodne, ten pije, Wanda się puszcza... Nie, to już koniec, nie mogę dalej, nie mogę...

Przyłożywszy obie ręce do skroni ruchem, pełnym ogromnej męki, zawodzi zapamiętana:

— Jezu, Jezu! Co ja, nieszczęśliwa kobieta, będę z niemi robić? Haruję dzień cały, jak ta ostatnia... ręce sobie urabiam, krzyż nadźwiguję, wnętrzości nadrywam z pracy, a oni nic, nic, jakby z kamienia wszyscy! Żeby litości trochę. Nie, nikt nie pomoże, słowa dobrego nie da, bo to wszystko pany, każdemu gotowe przynieś, zrób, naszykuj... Jezu, Jezu! I zaco to na mnie?... Inne, bieda aż piszczy, a po kominkach się tłuką, kawy pijają, teatry dla nich, spaceru dla nich — ja nic, jak ta baba z pod kościoła, co rok w jednej sukieneczynie, że Panie się pozał, ani ludziom pokazać, ani Bogu się pomodlić... Rwij włosy z głowy, o ścianę wal... Jezu, Jezu!

Czołem na stole oparta, zanosi się od gwałtownego płaczu. Wązkie plecy o wystających łopatkach wstrząsają się konwulsyjnie przy każdym szlochu, jakby je mięła nielitosna ręka; ramiona opuszczone gięstem beznadziejnej rozpacz.

Barowski stchórzył na dobre. Przez chwilę strzepuje palcami z wyrazem szczerzego żalu, kłopotliwie biega po pokoju, szukając nieistniejącej karafki, bezradnie kręci się koło żony, wreszcie gładzi ją nieśmiało po włosach.

— Helka, nie becz... Uważasz... nie becz, poczeka-j-no...

Przez długą chwilę płacz nie ustaje. Barowski miesza się coraz bardziej.

— Helka, no, Helka... czego ci... Zobaczysz, wszystko będzie dobrze...

Jest już zupełnie nieszczęśliwy...

Raptem Barowska, jakby zawstydzona własną słabością, odtrąca męża niechętnie.

— Odejdź, ty!... Co ci tam znowu będzie dobrze? Rura z barszczu, niedojda!...

Poprzez głuche szloch wydzierają się z jej piersi zdania, niby wyrzut, niby skarga, niby bolesny jęk.

— Ty się najwięcej... martwisz... Nie rozumiesz... co Wanda... nam... w twarz rzuciła?... Żeśmy... z niej... żyli... A jeśli prawda... to stosuje się... i do ciebie... i do babki... do tych małych nawet. Dla czego... ja jedna... mam za wszystko... odpowiadać?... Że skapielibyście... beze mnie?... Ech... co tam!...

Barowski zgadza się na wszelkie zarzuty, gotów jest potwierdzić najcięższe oskarżenia. Byle nie te łzy! Dość już, dość! Śledząc żonę z pod oka, przemyśliwa o obiedzie. Za chwilę słyhać jego basowy szept:

— Mania! idź-no, przynieś zupeł... Jeśli zimna, to niech babka odgrzeje. A nie poparz się tam!

Wszystko wraca do codziennego nastroju. Dramat ginie za suchym szczękiem talerzy, łoskotem łyżek, smacznym mlaskaniem dziecięcych warg. — Młodsza dziewczynka ryzykuje już niepewne uśmiechy w stronę ojca. Tylko Barowska ani myśli o jedzeniu. Nagły gniew wyrwał w jej duszy olbrzymią

czarną jamę, w którą sączy się teraz ze wszystkich szczelin żal beznadziejny. Szemrzą cichutko spływające po drżących nerwach strumyki, a dno pokrywa wstyd, jak osad gorzki. Za każdym otwarciem drzwi wdziera się z sionki fala żalostnego płaczu, za każdym razem mąci się jezioro. „I poco było krzyżeć?... Ani zaradzi, ani pomoże... Zwymyślałam, a ona ode mnie biedniejsza“... Nasłuchuje przez chwilę. „Cichnie już, Bogu dzięki“... Niespokojnemi oczyma bada uroczystą powagę na twarzy starszej córki, jakby strwożona przed milczącym wyrokiem. Gdy po obiedzie dziewczynki chyła się do jej ręki, Barowska zatrzymuje Manię w długim objęciu.

— Dziecko ty moje... dobre... kochane...

— Co, mamusiu?

— Nic, nic...

Zapada wczesny zmrok jesienny. W cichym teraz mieszkaniu ciemność rozkłada się stopniowo, powoli, jakby wchodziły doń długimi pasmami podwórzowe dymy. Snują się pasma, cicho po kątach się kładą; każdą rzecz owijają lotnemi kirami... Już i głowy szepczących dzieci znikły, Barowskiego na otomanie nie widać. Przed świętym obrazem coraz wyraźniej odcina się czerwone migocące światelko lampki, niby bezdźwięczne krwawych łez kapanie.

Wśród tego mroku postać Barowskiej, jak czarny włóczący się cień.

— Życie, życie... Jestem, jakby ten pies łańcuchowy... Waruj koło cudzego dobra, strzeż, pilnuj...

A że czasem polano nogę przetrąci, że ci się boki zapadły, nic to, nic to... Psia dola, psi los! Mój ty najśłodszy Jezu...

Żal za straconym życiem, za miłością wygasłą, za szczęściem żal... W umęczonej duszy wzbiera potężnymi falami litość dla wszystkich: dla siebie, dla matki, dla dzieci, dla męża nawet. A najwięcej dla tej niedobrej Wandy, co ją tak dzisiaj skrzywdziła.

Na palcach zbliża się do przytkniętych drzwi. Przyciszona rozmowa.

— ...Nie jak dawniej, bez ślubu... co ty, Wanda? Tak ci wieczorami tłumaczy? A, gałgan!

— Kiedy bo mama...

— Nic, już nic, dziecko! Tylko jakże tak można?

— Zwyczajnie. Małżeństwo, ale bez kościoła — rozumie mama?

— Oj, rozumiem, rozumiem, dziecko... Sprzykrzysz mu się i weźmie ślub... z inną... Mój Boże...

Barowska załamuje ręce, aż w stawach trzeszcza. „Niedobra, niemądra dziewczyna! Żeby się była spytała, o radę poprosiła — ale nie. Dumne to, uparte to, a głupie! Każdemu wierzy na słowo, byle nie siostrze rodzonej. Ech, Wanda, Wanda!”

W sionce długi wykład, przerywany pocałunkami trzęsącej się siwej głowy. Barowska znowu słucha.

— ...A Helka wyszła zamąż z księdzem i co? Od octu kwaśniejsza.

— Nie mów tak o Heli, dziecinko... Ona, widzisz, chciałaby najlepiej, tylko życie, jak ten ka-

mień dla niej: ani go ugryźć, bo twardy, ani się przytulić, bo zimny...

Drzwi uchylają się nieśmiało. Barowska siada przy siostrze, obejmując ją lęklwym ramieniem.

— No, Wanda, nie bądź zła na mnie... Jeśli my jeszcze będziemy się żarli, to lepiej odrazu na hak! No, Wanda...

— No, pocałuj... o tak!... Dziecina moja kochana! Widzisz... Och, Boże!... Żeby nie owa wieczna nędzka, troski, co serce rwą z człowieka...

Na podwórzu zapalają latarnię. Ostry blask długimi pasami biega po suficie i ścianach, zaglądając w oczy trzem pochlipującym zcicha w objęciu kobietom.



WYZNANIE.

Władek, mąż lat przeszło jedenastu, uczuł nagle, że życie jest doprawdy psa warte. Zdarzyło się to w chwilę potym, jak panna Wanda wyszła ze stołowego, nakazawszy mu uczyć się słówek powtórnie. Próżno przysięgał się na matkę, że jeśli nawet nie umie z polskiego na łacinę, to jeszcze nie dowód: jak świat światem, Szewc nie pytał inaczej, niż z łaciny na polski. Toć byle „pierwszakowi“ wiadomo! Ale czy „babie“ można co wytłumaczyć? Nie wysłucha nawet porządnie, uprze się — i rób, co chcesz!

— Psa warte takie życie, ech! — westchnął ciężko, uderzając w stół brudną pięścią. Ostatki — cały tydzień świąt — a ty, człowieku Boży, siedz w mieście, kując przeklęte słówka! Dla jednej głupiej dwóji na cenzurze! W dodatku — niesprawiedliwej... Cała druga klasa zaświadczy, że Szewc, wzięwszy pigułą w łeb na gimnazjalnym podwórku, uprzedził się do Władka. Żeby choć rzeczywiście on cisnął — no... byłaby jakaś satysfakcja. Ale tak... Starzy napisali do pani Hennisz, że tylko ośmioklasiście Mietkowi wolno wrócić na wieś, do domu. — Jeszcze się nazywa miłość rodzicielska — jęknął z goryczą. — Chryste Panie! jak tam w Za-

wadach musi być rozkosznie! Przymrozki trzymają, a może i śnieg leży jeszcze... kto wie? Pojechałby na nowym kucu do Stefka Gałęckiego... U Ziemiękich bal, jak co roku... pączków kupami... faworki... Mieciora, dryblas, używa, — pomyślał zazdrośnie. A on tu sam jeden między babskiem! Ile tego jest? Cztery? Nie, pięć... Zaraz! Liczył na palcach: Stara kwoka Henniszowa, panna Stefanja (uch, pudło!...), panna Wanda, Mańka, Zośka... pięć, jak lodu! Pięć bab, a on jedyny mężczyzna! Do diabła z taką zabawą!

Zatknąwszy uszy rękoma, kiwał się uroczyście nad książką, z umysłu wykrzykując na całe mieszkanie, aby przekonać kogo trzeba o pilności. Trwało to zresztą możliwie krótko.

— Panno Wando! Już!

— Ucz się! Nieprawda!

— Kiedy mówię, że już! — No niech pani przyjdzie...

Do pokoju weszła przystojna, pięknie wyrosnięta panienska w szkolnym mundurku.

— Coś strasznie prędko...

— Łatwo się przekonać. O proszę! Książka tutaj.

Obciagnąwszy kurtkę, wyprężył rysy w inteligentnym oczekiwaniu.

— Pocisk?

— Telum.

— Wstępować na co?

— Es... es... Zaraz... Escendo, escendi, escensum! Aha!

— Gardzić, lekceważyć?

— Gardzić... gardzić... Kiedy bo pani na wyrywki...

— Nie umiesz. Sperno, sprevi, spretum. Wiać?

— Nie mogę tak prędko... Zaraz... Panno Wando, a ja mam list do pani!

— Co takiego?

— Mam list do pani!

Panienska spojrzała nań nieufnie, zmieszana.

— Kłamiesz pewnie... Od kogo?

— Od Mietka.

Łgał najserdeczniej, patrząc jej prosto w roziskrzony oczy. Co za szczęście, że sobie w porę przypomniał o owych brata „amorach“; byłby wpadł znowu ze słówkami, jak amen w pacierzu!

— No, daj ten list!

— Ba! A zaświadczy pani, zem umiał?

— Zaświadczę, zaświadczę!... Dawaj!

Sięgnąwszy do bocznej kieszeni, szukał w niej chwilę. Nagle twarz jego wyraziła silny niepokój.

— Tu niema... Zaraz... Pewnie w kamizelce.

Rozpiął się, ze skupioną miną badając bezdenne skrytki ubrania. Panna Wanda przerwała z tłumioną wściekłością:

— Kłameczuch przebrzydły!

Z flegmą dokończył wywracania kieszeni na świadectwo prawdzie. Wreszcie stwierdził z głębokim żalem:

— Niema. Zgubiłem, widać, w szkole...

— Nieprawda!

Obraził się.

— Zaraz „nieprawda!“ Napiszę do Mietka, że

mi pani strasznie wymyśla i chce listu koniecznie...  
Jutro napiszę! Oho!

Panienka zarumieniała się po uszy.

— Ani mi się waż, głupi!

— Nie? Dziwne... Mogę odejść?

— A idź! Wynoś się!

Wyszedł wolno, ruchami pełnymi godności. Za drzwiami dopiero, chichocząc tryumfalnie, zrobił „lewka“, jako symbol stanowczej przewagi męskiego ducha. „Głupie są te babska, że no! Ani im się umywać do belfrów“ — myślał z żalem. Zmierzał teraz do „dziewczyńskiego“ pokoju, gdzie od niedawna wprowadził rozkoszną zabawę „w Indjan“. Wchodząc z góry w swą rolę, skradał się wzdłuż ciemnego korytarza cichuteńko, na palcach... Stanąwszy przed niedomkniętymi drzwiami, nasłuchiwał chwilę. Nic. Zajrzał. Dziewczynki gawędzą cicho, przytulone do siebie. W ostrym świetle lampy długa, przezroczysta twarz Zośki Janickiej wydaje się kredowej bledkości. Szeptem coś gorliwie najmłodszej Henniszównie, o czymś ją przekonywa, a tamtej aż zorze wystąpiły na krągłe policzki. Władek skrzywił się niechętnie: „Znowu jakieś głupie tajemnice“...

Pchnął gwałtownie drzwi i skoczył na środek z wrzaskiem:

— Jam jest Dżibennonosah, Duch puszczy!

Dziewczęta krzyknęły ze strachu. Nim jednak ochłonąć mogły, pytał surowo, marszcząc się przeźliwie:

— Azali gotów jest ten wigwam na przyjęcie wojownika?

Mania replikowała bez zająknięcia:

— Udziec bawoli piecze się przy ognisku.

— Słuszna pokrzepić siły, bowiem Siuksy i Komanche szykują nową wyprawę na siedziby bledych twarzy. I zaraz po „nie indyjsku“:

— Dalej, Zośka! Krzeselka do kupy! Ściągnąć kołdry! Zrobimy namiot, jak nigdy. Prędej, bo kolacja!

Dziewczęta nie ruszyły się z miejsca.

— Cóż to? Czemu stoicie?!

— Pani Hennisz zabroniła rozbierać łożka — tłumaczyła Zosia nieśmiało.

— Iii... ktoby tam słuchał! Nic nie będzie! Do roboty! Dalej!

— Tak, tobie nic, bo nie twój pokój... Na nas się skrupi.

Władek wyjął usta ze wzgardą.

— „Błada siostra ma twarz dziecka, a serce jelenia...“ Z babami tak zawsze! Nie zna się to na niczym i gada... Cała zabawa na nic!

— Możeby w co innego? W ślub naprzykład...

— W ślub? Hm...

Wahał się chwilę, wietrząc w tej historii coś niemęskiego. Jakies tam śluby! Ale Zosia nastawała gorliwie:

— No zgódź się, Władek! Przecież i dorośli panowie...

— Dorośli robią wogóle dużo głupstw — poczył.

— Tak... ale co ci szkodzi? Zobaczysz — będzie ślicznie. Uszyłam sobie muślinowy welon, włożę wianek — zobaczysz, zobaczysz! Mania odprawi wszystko przy komodzie... niby ołtarz...

Mania ucieła sucho.

— Tylko że ja nie chcę być księdzem.

— Dla czego?

— Chcę być panną młodą.

— Przecie nie masz welonu, ani nic!

— Wszystko jedno. Dla czego ty wybierasz sobie najlepsze?

— U... zazdrośnica!

— Niech tam, a księdzem nie chcę!

Władek wzruszył ramionami.

— Mądrale! To ja dam ślub — dobrze?

Dziewczęta spojrzały po sobie niepewnie. Wreszcie Zosia:

— Kiedy panny nie żenią się przecie z pannami...

— Ba! A księdzem też baby nie bywają!

— Tak, ale zawsze ksiądz ma suknię.

Zmuszony uznać pewną słuszność argumentu, Władek rozgniewał się tymbardziej.

— Głupie gęsi! Gę, gę, gę! Zgadzasz się, Mańka, bo idę do siebie?!

— Nie. Ale można w sekretarza.

Chłopiec ustąpił, zniechęcony. „Warto się z byle kim kłócić! Niech się sroki nacieszą!“ Za chwilę siedzieli nad stołem, pochyleni, zasłaniając przed sobą kartki rękami. Władek długo moczył w ustach ołówek, czerpiąc z sufitu natchnienie; wreszcie uśmiechnął się z zadowoleniem. Jest! Wysunąwszy

koniec języka, smarował olbrzymimi kulfonami sprytne zagadnienie: — Obliczyć wartość panny Stefanji, jeśli funt starych kości kosztuje dwa grosze. — Nagle uwagę jego zwróciły szept i ostre chichoty dziewcząt. Udając, że pisze, obserwował je z pod oka. Mańka dostała jakąś karteczkę od Zosi i cieszy się, zaśmiewa, jakby ją kto łechtał. Oho! teraz znowu Zośka aż nogami dryga z radości. Napewno te obrzydłe sekrety! Ciekawość chłopca zaostriła się niepomiernie. Postanawia jednak działać z rozważą.

— No, babska, teraz czytać głośno!

Panienci zakrepiły się na krzesłach, chichocząc jeszcze cieniem.

— Jazda! Co tam znowu?

Zosia przybrała minę tajemniczo zakłopotaną.

— Widzisz... to nasze prywatne listy, panięskie... Chłopcy nie o wszystkim mogą wiedzieć.

— Patrzcie-no! Panięskie! Mizdry się, jak cielę do proboszcza! Taka była umowa?

— Proszę cię bardzo... Po pierwsze, nie wymyślaj, a po drugie — nie mogę pokazać. Trudno...

Mówiła to głosem spokojnym, pełnym dystynkcji. Władka aż podnosiła wściekłość, lecz dusił ją w sobie roztropnie. Włożywszy ręce do kieszeni, kiwał się obojętnie na krzeselku, z ramionami wzniesionymi wzgardliwie aż do uszu.

— Phi... Nie, to nie! Nic mi po babskich tajemnicach. Chociaż i ja mógłbym coś ciekawego opowiedzieć... Naprzykład — o Mietku i pannie Wandzie...

Zerwały się gwałtownie.

— Opowiedz! Władek, opowiedz! Prosimy cię. Koniecznie!

— A pokażecie wasze bazgroty?

Spojrzały po sobie.

— Kiedy bo... my nie możemy. Naprawdę, Władek...

Najchętniej wyrwałby siłą, lecz bał się, aby nie podarły kartek. Raptem olśniła go gienjalna myśl.

— No dobrze... Powiem Mańce, jeśli przysięgnie, że ani mrumru.

Zosi, zawsze płacziwej, odrazu stanęły łzy w oczach.

— A mnie?...

— Dobrze, — i tobie, bekso. Ale potym. Chodź, Mańka!

Wyprowadziwszy dziewczynkę do ciemnego korytarza, udawał przez chwilę, iż bada, czy nikogo nie ma w pobliżu. Wreszcie, nachylony nad jej błyszczącymi oczętami, zaczął mówić szeptem, powoli:

— A nie powiesz?

— Nie.

— Jak Boga kochasz?

— Jak Bożę kocham.

— To słuchaj... No, słuchasz?

— Słucham.

— Mam ci powiedzieć... że... że... — raptem parsknął jej śmiechem w sam nos — żeś głupia, jak but! Wiesz teraz?!

Szybko wepchnął zdezorientowaną Manię do pokoju i wołał na drugą.

— Zośka! Teraz tobie, prędzej!

— Nie chodź! On oszukuje tylko!

— Uuuu! Zazdrośnica! Chce sama wszystko wiedzieć! Chodź, Zosia!

— Nie wierz, Zosia! Nie wierz!

Ale już była za drzwiami. Władek patrzył na nią drwiąco, ze złośliwym uśmieszkiem.

— Wiesz, dla czego Mańka nie chciała, bym ci powiedział!

— No?

— Bo sama pokazała mi twoją kartkę... O, patrz! Powiewał jej przed oczyma ćwiartką czystego papieru.

— Ładna historja! Pokażę to starej, będziesz się miała z pyszna! Pisać takie rzeczy!

Zosia przybladła z przerażenia.

— Pokazała? Co ty, Władek? Naprawdę pokazała?

— Widzisz przecie. Mówiłem — nie zadawać się z byle smarkatą!

Dziewczynce popłynęły ciurkiem łzy.

— Lizus! uuu! A przysięgała się... Poczekaj, Mańka!... Kiedy tak, to i ty także!... Zobaczysz... Masz, Władek, masz....

Wyrwawszy jej gorączkowo kartkę, Władek wpadł do pokoju z tryumfalnym wrzaskiem i czytał przy lampie, zanosząc się od śmiechu:

— „Ja także kocham się we Władku!“ Ha, ha, ha! Ładnie, Mańka, ładnie! Niema co! Powiem matce, będą wały! Będą wały! Ha, ha, ha! Przy wszystkich powiem! przy kolacji!

Mania patrzyła na to oszołomiona. Zrozumiawszy, zaczerwieniła się z gniewu, jak wiśnia, i splu-

nąwszy symbolicznie pod nogi Zosi, wyrwała drugą kartkę z kieszeni.

— Nie ja tylko!... Masz! I nic mi nie będzie, żebyś wiedział!

Entuzjizm Władka dobiegł szczytu.

— „Czy ty nie kochasz się we Władku? Chciałabym go pocałować“. Brawo, Zośka! To ci dopiero warjatki, no!

— Chciałabym go pocałować!... Pocałuj psa w nos! Ha, ha, ha! Powiem, powiem! Umrą wszyscy ze śmiechu! Ha, ha, ha!

Targał je za sukienki, skacząc po pokoju i przewracając krzesła w szale radości. Co chwila skrobał dziewczętom „marchewkę“, to znów kręcił się w dzikim „tańcu wojennym“, wydając wściekłe wrzaski zadowolenia.

Przez półotwarte drzwi zajrzała zwabiona hałasem panna Wanda.

— Co tu za krzyki? Władek! co ty wyrabiasz?

— Panno Wando! Niech pani idzie! Niech pani to przeczyta! Proszę pani!

— Kto pisał te głupstwa? Wy, dziewczęta?

Władek wytykał palcem winowajczynię, czerwone ze wstydu, z ustami ściętymi w podkówkę.

— A któżby?! One, one... O, głupie gęsi! Gę, gę, gę! Panno Wando, co?!

Panna Wanda parsknęła nagle serdecznym, rozdzwonionym śmiechem. Dziewczynki w bek. Ale ona, nie dbając już o powagę, zaśmiewała się tymbardziej, podniecana do coraz nowych wybuchów przez Władka, który, stojąc naprzeciwko

z dłońmi wspartymi na kolanach, ryczał wprost z ukontentowania. Wypadła wreszcie z pokoju, dusząc się.

— O smarkate! Niemądre kozy! Ha, ha, ha! Stefa! Stefa!

Stara panna przejrzała kartki przez założone binokle. Jej wysoka, szczupła postać, nachylona nad lampą, rzuciła monstualny cień na przeciwległą ścianę. Dziewczęta chlipyły teraz pocichutku, z rezygnacją, nawet Władek zaciskał usta pięścią, czekając na efekt, by dać sygnał dalszej wesołości. Ale uśmiech prześlizgnął się tylko po wązkich wargach panny Stefanji. Za chwilę szeptała coś siostrze z niezadowoleniem. Władek nastawił ucha: „...Dziwię ci się... Co z niego wyrośnie, jeśli już teraz... z kobietami“... „Jędza, stare pudło“ — przemknęło mu przez myśl nienawistnie. Ze zdumieniem słuchał łagodnych wyrazów, zwróconych do płaczących dziewcząt:

— No, no, małe, nie beczeć! On, głupiec, niewart tego.

Mania spojrzała nań z gniewem poprzez perliste łyzy.

— Oszukaniec! Myśmy dla siebie tylko... Skarżypyta, pół-kopyta! Uuu!...

Wysunęła język, jak mogła najdalej, lecz chłopiec odwrócił się tylko pogardliwie. Czuł, że sprawa przybiera jakiś dziwny obrót. Na nim się skończy, jak zawsze! O, wyprowadza je, głaszcze nawet — tak, tak — teraz do niego, rozumie się... Zaciąwszy się w sobie, czekał z zuchwałym uśmieszkiem.

— Tyś czego kontent, niemądry? Co? Zamiast być wdzięcznym za życzliwość...

— Nie dbam o ich głupie życzliwości!

— Powinieneś dbać!

— Iii... Wcale się nie proszę!

— Cicho! Nie wiesz to, że prawdziwy mężczyzna musi być dobry dla kobiet?

— Takie tam kobiety...

— Wszystko jedno. Słabsze są od ciebie, rozumiesz?!

— Toż się z nimi nie biję.

— Nie odpowiadać! W tej chwili mi je przeprosić! Słyszysz!

Milczał, zdumiony tym niepojętym rozkazem. Wreszcie zakipiała w nim wściekłość. Zwarjowała baba, czy co? Patrząc jej prosto w oczy, wycedził powoli, starannie oddzielając wyrazy:

— Ani... mi... się... śni!

Panna Stefanja poczerwieniała, jak piwonja.

— Co?! Coś ty powiedział?! Marsz mi do kąta! Natychmiast!

— A jakże! Nie pójdę.

Chwyliła go lekko za ramię, popychając ku szafie. Tego mu tylko było potrzeba: przykucnąwszy pod jej ręką, darł się na cały głos, skrzywiony boleśnie.

— Oj, oj! Zaco mnie pani bije?! Powiem matce! Oj! oj! Niech się pani nie szczypie, bo naskarzę! Tak mnie boli! Uu! uu! uu!

Zasłoniwszy twarz ręką, udawał, że płacze. Panna Stefanja puściła go momentalnie.

— Ach, ty nicponiu! Ty, komedjancie! To ja dla niego, jak dla kogo dobrego!... Pisałam właśnie do Zawad, że można cię zabrać, mimo łacinę... O ziółko! Poczekaj, popamiętasz ty ruski miesiąc! Ruszyła do drzwi z takim impetem, że ledwie ją uprzedzić zdążył, zastawiając drzwi.

— Panno Stefanjo! Ja już pójdę do kąta!...

— Oho! Za późno, kotku! Puszczaj!

— Nie, panno Stefanjo! Pani się mści zaraz...

Ja przeproszę...

— Przeprosisz?

— Hm... A możeby lepiej stać w kącie całą godzinę?... I tak kara... No, panno Stefanjo, proszę...

Za chwilę siedział na podłodze przy piecu, dźwigając losy z filozoficznym spokojem. Że to właściwie „dziewczyniska“ powinny stać po kątach, było dlań jasnym, jak słońce: niechby on wypisał takie brednie, no!... Zna ich przecie! Wie, czego się spodziewać! A tym srokom nic! — prawie pochwały!

Z serdeczną ulgą rozpoczął obmyślanie jakiejś finezyjnej zemsty na po świętach.



WACEK.

Siadłszy na zwalonej gruszy, Wacek ryczy już od samego obiadu. Funkcjonuje z przejęciem i metodą: mrużąc oczy, z otwartymi szeroko ustami, wyrzuca trzy fale dźwięczne unisono, urywa raptem, chwilę nasłuchuje efektu — i da capo. Aa.. aa.. aa... Mimo pozornego spokoju duszę ma pełną niepewności; łatwo powiedzieć — płacz! kiedy od dawna łez zbrakło, a końca historii ani dojrzeć. Ustąpić? Przestać? Tak, a czemu go nie zabrano do Bukowskich? Dla czego wszyscy mogą patrzeć na pannę Jadwigę, on tylko jeden nie? Przecie i lekcje umiał i grzeczny był całe rano... Dopiero ta przebrzydła nauczycielica! Wacek wysuwa jej w myśli język, jak długi. Właśnie będzie beczał, choćby bez sensu, a będzie! Niech się dzieje, co chce!

Od drogi dobiegają gwar i śmiechy powracających. Ze zdwojoną gorliwością, kiwając się miarowo, chłopiec drze się teraz, jak opętany. „Zobaczmy, kto dłużej wytrzyma“, myśli dumnie, zezując w stronę domu. Za chwilę pędzi ku niemu przez trawniki „długonoga“ Hela. Zatrzymawszy się w przyzwoitej odległości, bada go kąpięciami oczyma.

— Ooo... ryczywół!

— Odejdź, Helka, bo przetrącę!

— Uuu... mazgaj! stara baba!

Wacek zrywa się do skoku. Już, już... Nagle, wzruszając ramionami, wyrokuje sucho, tonem nieodwołalnym:

— Gidja.

— Mama ci zapowiada, że jak zaraz nie przydziesz na podwieczorek, to będą wały!

Milczenie.

— Wiesz, na pokładankę... siach!... siach!... Ostatni raz mówię: marsz do domu, smarkaczu!

Uzyskawszy tylko spojrzenie, pełne bolesnej pogardy, dziewczynka zmienia taktykę. Skacząc na jednej nodze, a zawsze z zachowaniem dystansu, podśpiewuje obojętnie:

— A tam są ciastka z kremem, są ciastka z kremem, są ciastka z kremem!

Potym znowu:

— A tam są i poziomki, są i poziomki, są i poziomki!

Grot utkwiał. Zgłodzona istność Wacka wybucha nowym jękiem.

— Aa... aa... aa...

— Znowu wyjesz? Nie wstyd ci starszej siostry? Już i tak wszyscy się śmieją: i Stefan, i Kazia, i panna Jadwiga... Wyjec amerykański! zamieszkuje lasy brazylijskie...

Na wspomnienie panny Jadwigi chłopiec urywa płacz momentalnie. Z wojennym okrzykiem „Ach, ty nędzo długonoga!” puszcza się w pogoń za siostrą, lecz, nie dobiegszy do domu, skręca

w boczną uliczkę i ostrożnie, krzakami podchodzi do okna salonu. Ledwie mu się serce nie wyrwie z za cienkich żeber. Przez szybę widzi, jak Helka opowiada coś żarliwie, a po przecudnej matowej twarzy panny Jadwigi snują się złote błyski, coraz prędzej, coraz prędzej, aż wkoło ust zebrane, wykwitają dwoma ślicznymi dołeczkami. Wacek, nie mogąc oczu od nich oderwać, wysuwa głowę zbyt zuchwale. Oho! już go spostrzegli. Daje szczupaka w dół i kuli się pod parapetem, ale za późno: słychać szuranie krzesel, szybkie kroki do ogrodowych drzwi... Chłopiec, jak zając, jednym susem znajduje się na ścieżce i pędzi, ścigany przez piękną pannę.

— Wacek! Wacek! Poczekaj!

Dopadszy płotu, obraca się trwożnie. Panna Jadwiga siadła opodal na ławce i oddycha szybko, zrumieniona śmiechem i pogonią.

— Wacek, chodźże tutaj!! Cóż to, boisz się?

— Wcale nie...

— Więc chodź! Prędzej, no!

Chłopiec idzie wolno ze spuszczoną głową, jak oczarowany; o parę kroków przed ławką staje, drżąc cały.

— Bliżej!

Ani się ruszył. Dopiero za rękę wzięwszy, wciągnęła go na kolana.

— Uff! co za ciężkie chłopczysko! A urwis, a tchórz, a mazgaj! Pokaż-no ślepia! strach, jakie zabuczane... nie wstyd ci? Za karę pocałuję i wasy nie urosną! Masz! Masz!

Wacek czuje na oczach i twarzy chusteczkę o jakimś cudnym zapachu, a wślad za nią pełne, gorące usta, od których rozchodzi się po całym ciele niewymowna słodycz, tak silna i upajająca, iż tuli się tylko do niej serdecznie, a głowa opada mu na ramię, jak kwiat.

— No, no! aby mi się tu nie rozmazywać... Gadaj, coś tam nabroił?

— Ja nic... to oni nie dali mi pójść do pani!

— Mojeż ty niewiniątko! A kto wyprawiał awantury przy lekcji? Co?

— To ona, ta nauczycielica... krokodyl!

— Jak?

— A bo jest krokodyl i już.

— Co ty gadasz? Pewnoś nic nie umiał?

— Oho, wszystkich królów na wrywki... może pani zapytać! Dopiero, jakem się zaczął trochę huścić na krzeselku, ale troszeczkę, to ona postawiła pałę ze złości. A ja nie chcę, bom umiał.

— Coś tam kręcisz, smyku... przyznaj się!

— Wcale nie... tylko potym było mi już wszystko jedno. Ona mówi: „Huśćaj się, huśćaj... może nogi na stół położysz?” A ja mówię: „Jak mi się spodobą, to położę”. — „Dostałbyś od ojca — no!” Więc ja nogi na stół, a ona się rozzłościła, jak pies, i otworzyła drzwi do jadalnego, gdzie była mama.

— Ładne historje! Niema co! Idź sobie ode mnie, ty brzydki! No, proszę się wynosić!

— Nie, panno Jadziu, nie... I pani też? Com ja winien, że ona niesprawiedliwa? Zaco pałkę?

— Huściłaś się...

— A jak ona godzinami coś z nosa wyciska, to ja nic.

— Pfe! co za głupstwa! Zresztą już wymówiła mamie; ma cię wyżej uszu!

— Wcale się nie proszę... A kto teraz będzie, nie wie pani?

— Hm... możebym ja sama, ale...

Wacek zajrzał nieufnie w czarne, roziskrzone oczy.

— Nie wierzę... Byłoby za dobrze.

— Kto wie? Gdybyś przyrzekł być grzecznym...

Nagła fala nadziei zalewa duszę chłopca.

— No niech pani... panno Jadziuniu! moja najzłociejša! moja kochana! Niech mnie pani uczy! Zobaczy pani, już będę greczny, jak Helka... jeszcze bardziej! Ani się huścić, ani nic... Choćby cały dzień przy lekcji, tylko niech pani!...

Schwyciwszy jej rękę, okrywa gorącemi pocałunkami i białą dłoń, i wierzch, i różowe palce o migdałowych paznokciach, aż ją do obrony zmusił, zawstydzoną.

— Dobrze już, dobrze! Puść rękę!

— A napewno? Słowo?

— Słowo, ty niemądry...

Chwilę siedzi spokojny, tuląc się, jakby odurzony niespodzianą radością i pachnącym ciepłem jej ciała. Panna podnosi się wreszcie.

— Marsz do domu. Matkę przeprosić!

— A nie pocałuje pani?

— Pieszczoszysko przebrzydłe... No, idź już...

Chłopiec patrzy za odchodzącą aż do skrzyżowania alei. Potym puszcza się całym pędem na łąkę i pada na kopiec świeżo ściętego siana, w wonnych źdźbłach kryjąc twarz rozpaloną. Leży tak ci-chutko, a z oczu kapią mu duże, niewymuszone łzy...

## O CZAROWNYM ZIELU I RYCERNYM PASIE.

Chycili się matula Jaśka, sukmany im z ręców nie wydrze.

— Oj, nie chodzi, nie chodzi, Jaśku, do bora! Nie widzisz hań, ciemień jaki? Chmurzyska, kiej ta czarna pierzyna nad polem, wicher ino zagonami za czymś trupem wietrzy... Straszna noc! Od zachodu bór się ciężko kolebie, a szumi, a gada... dołem jakiesi ognie pełgają, coś między drzewami huka, rechoce.... — sam zły, musi, weselisko sprawa. Oj, nie chodzi, Jaśku, nie chodzi! Już mi ta żyw nie wrócisz!

— Nieporada, matko! mus mi do bora iść. Czarownego mi trza ziela!

— Abo ci to w chałupie źle, abo ci to u matki krzywda? Abo głodem mrzesz, abo nie dośpisz, abo cię kto niewoli? Aboś to na ojcowym nie gospodarz?! Nie chodzi, synku, nie chodzi!

— Puśća, matko! Już mi ta siły nie strzymać, kiej jej doma ciasno! Puśća, mówię!

Szarpnął się Jasiak leciutko, ino starej łachetek w ręczach ostał. Rzucili się za nim matczysko — hale, poszedł! Dopiero jęli zawodzić!

— Oj, na kogo ty mnie, Jaśku, ostawiasz... Kany się przez ciebie, sierota, podziej!...

Zapalili gromnicę przed Częstochowską, padli na kolana, jaże w kulasach trzasło, — i modlą się żarliwie, ino szluchy im siwą głową trzęsą, a łyzy kiej te różańcowe paciorki na ziem lecą... Dobrze już po północy przysiedli se na skrzyni pod oknem czerwonymi ślepiami za synem w ciemnościach gonić. Aż i zdrzemnęli się krzywą.

Wraz po świtanu skrzypnęły w obejściu wrota. Ocknęli się matka, przezierają ze snu... Jasiak... Sukmana na nim w kawałach, buciska zbłocone, gęba i ręce we krwi, ino mu te oczy gorzeją, co i łuczyna nie trza. Z za pazuchy ziela snopek wygłada niezgorszy.

Dopadli go stara z krzykiem, hale ich ręką odgarnęła, jeść prosi. Zakręcili się migiem po izbie, warzą, a fartuchem raz w raz do oczu sięgnęła, w ci chości se przegadując:

— Wróciłeś, mój królu złoty, wróciłeś... Już ci ta starej matki żal, sokole...

Podjadł se Jasiak pocziwie, Pana Boga pochwalił i na ławie zległ. Ziele leciutko pod głowę złożył, coby mu się dobrze spało.

Starą ciekawość zbiera silna. Pyta:

— Czarowne to?

Rozśmiał się.

— Bobych to jensze brał?

I śpi.

Już słonko do południa pół drogi zbiegło, kiej stara wrócili od pielenia. Patrzą, a tu Jasiak co najlepsze szatki na się wdział, kółeczkami u kierezji dzwoni, pawie pióra u czapeczki gładzi.

— Kanyż to?

— A do dwora ze zielem.

Jaże rękami prasła.

— Toś lo pana po ono ziele chodził?!

Prześmiewa się parób, wesół.

— A ino! Chłopu ta nic po bogactwach.

— Boga ty się, Jasiak, nie boisz, abo jak?!

To u samego wiater po stodole świszczy, przednówka ino patrzeć, a ty tyłośne skarby panu niesiesz?! Mało mu to ojce nadźwigali?! A tu ci matka trzy razy jedną zapaskę łąta, każde ziarenko w garnku liczył!...

Długie szykowali stara gadanie, ino co się Jasiak w drogę zabrał. Wylecieli za nim na wieś, dyrdają wpodle, a pomstują, a proszą...

— Bodejci się to ziele na kamień obróciło! Bodejeś zmarniał, kiejś taki! Ady choć się starości ulituj, choć ździebko matce oddaj, na trumnę!...

Rzucił za się garsteczkę, — ostała.

Ledwie do kuźni Jasiak doszedł, a tu dziedziec kowala wyklina, co mu najlepszego żrebca wczora zakuł. Zły sielnie, krzyczy, rękami, kiej ten wiatrak, macha. Gromada wkoło łeb przy łbie stoi, poredza.

Nastawił Jasiak łokcie, by miedzą wśród narodu idzie; jaże niejednego, co boków nie baczył, gniew zbiera.

— Hale, drażgal! Pchaj swego brata, kie go masz, bo głupi

— Cie go, franta! Musi go na pieskie wesele za družbę biorą.

— Puśćta! Do pana idę z kupnem!

— Cichojsza, ludzie! Indory macał będzie, lotego zielsko dzwiga.

— Gospodarz, jucha!

A już i pan go dojrzał.

— Czego?

— Za kupnem, jasny panie. Po twój rycerny pas i złote ostrogi.

Szczerwieniał pan we chwilce, kiej ten aksamitny kontusz na nim. Kiej nie tupnie nogą, kiej nie wrzaśnie:

— Brać go tu sam!! Ja cię, chamie, żartów oduczę!

Dopiero Jasiek za ziele. Co listek ciśnie — złota blacha się na ziem z brzękiem wali, co nać w palicach skruszy — drogie kamienie kiej groch się na piach sypią... Ino jęk poszedł po narodzie! Już się caluśka wieś na ony dziw zleciała, a Jasiek wytrząsa i wytrząsa... Nawalił tego dobra wielgaśną kupę, a migotliwą, jaże oczy bolą od patrzenia. Sam dziedzic przepomniał o gniewie, wąsa kręci, cosik se zamyśla.

Pańskiej miłośnicy znać dali: z puchów się zwlekła, ledwie odziana bieży, piersi ino, kiej te białe gołębie, zapaską tuląca. Wraz panu sekreta szepce, a oczy jej się niegorzej od kamieni palą.

Nachmurzył się dziedzic. Skarby nakazuje zbierać, na Jaśka kiwnął ino:

— Do dwora za mną!

Stoi Jasiek w komnacie, rozgląda się, kiej po kościele, pańskiego słowa czeka. Czeką chwilę, czeka drugą — pan, by gradowa chmura, z kąta w kąć się tłucze, coraz to do skrzyni podejdzie

bogatej, pas wyjmie, ostrogą pobrzęka, i znów wieko zatrzaśnie z hukiem. Czegości ciężko wzdycha... Dopiero jęła go panna ramionami obłapiać, miodowe słówka toczyć, a łaścić się, a przymilać... Aż i zakrzyknął:

— To już sam weź ze skrzyni!

Przypiął se Jasiek złote ostrogi, do pasa się bierze, hale go pan strzymał.

— Czekajno! Klękniij!

Szablę bogatą przyniósł, ucałował, Jaśka nią dwa razy bez plecy przemierzył sielnie, dopiero mu ją u pasa wiesz. Wstał Jasiek, panu się nisko kłania, a mina za katy harda.

Poweselał pan, bo mu się niezgorszy rycerz widzi, i na służbę klasnął:

— Toś ty teraz, jako i ja, pan! Siadaj, bracie, za stołem, a wraz i na łowy czas będzie!

Prześmiechnął się Jasiek leciuchno.

— Kiej mi, panie, niesporo ze szablą za stół siadać, łowy też lo mnie nie zabawka.

Nie w smak panu te słowa, hale nic po sobie nie pokazał.

— Ha, to i z Bogiem!

Jaśka pod ramię ujął, na ganek prowadzi, źrebca dać mu nakazuje tegiego. Dziwuje się służba, jaże pan na nich z góry:

— Strzemię podaj jeden z drugim, bałwany! Nie widzisz, że wielmożny wsiada?!

Ruszył Jasiek z kopyta we świat, na sprawy. Pan za nim z ganku patrzy, a wzdycha, piersiami, kiejby miechem, robi...



W CUKIERNI.

W cukierni na górze od samego początku nie-  
dobrze wróźono małżeństwu pana Ignacego. Znali  
go tam niektórzy od dziecka, od takiego — o! —  
pędraka, kiedy jeszcze z niedopiętymi spodeńkami za  
latawcem po kamienicznym podwórku pędzał, a ś. p.  
ojciec, introligator, wysunąwszy z warsztatu łąsą  
czaszkę, z ukrytym za plecami rzemykiem, wabił  
go miękkiem głosem: „Chodź, Ignaś! chodź! — coś  
ci pokażę“... Mimo przykre doświadczenia Ignaś  
szedł i brał wnyki, drąc się wniebogłosy ku ser-  
decznej uciezce zebranych pod oknem rówieśników.  
Niedojda bo był, a łatwowierny dziwnie. Szkoły  
szły mu niesporo, że to i „wsypywał się“ wiecznie  
za własne, czy cudze winy, a i wiedza, szczególnie  
ściśła, ma swoje ciernie...; odetchnął też z ulgą,  
gdy za bezskuteczne poszukiwania przekątni w trój-  
kącie „wylano“ go wreszcie z piątej klasy z łoś-  
kotem, ojciec zaś, klnąc i szewcem grożąc, wyszukał  
mu miejsce ucznia w sklepie bławatnym. Tu do-  
piero znalazł pan Ignacy właściwe zastosowanie!  
Podnosić i spuszczać żaluzje, po drabinkach łązić,  
biegać po mieście, a zawsze w zrozumiałym inte-  
resie, z celem konkretnym i jasnym, to nie jakieś  
tam dowodzenia dawno i lepiej dowiedzionych,  
a dziwnie obojętnych twierdzeń! Harował na umór,

z zamiłowaniem, pierwszy wchodził, wychodził ze sklepu ostatni, zawsze sumienny, uczciwy, pogodny... To też, dobiegszy ćwierćwiecza, i pensję miał nie-zgorszą, a nikomu nie było tajnym, że skąpy na pochwały pryncypał w rzewniejszych momentach mianuje go perłą między subiektami i filarem interesu.

W kamienicznym klubie, na bilardowej górcie, zwano go co prawda mniej poetycznie, po prostu „wołem roboczym“. Ale nie wszyscy nadawali tym wyrazom ironiczną tendencję, o nie! — może nawet większość zawierała w nich swe uznanie dla pana Ignacego... Bo że taki tam Długi, co się z piramidki utrzymuje, machał przytym pogardliwie ręką, — no, toć wiadomo, czym jest Długi. Nie może mieć szacunku dla pracy ludzkiej, kto naciąga uczniaków, udając, że grać nie umie, albo w nocnych kawiarniach poluje na partję po rubelku z pijanemi gośćmi. „Artysta“... jak słusznie i ze zwykłym dowcipem mawiał o nim pan Feliks, fryzjer. Zato u poważnych bywalców pan Ignacy cieszył się szacunkiem, wzrastającym proporcjonalnie do corocznej podwyżki; nawet markier, pan Aleksander, ów pełen mizantropji pan Aleksander, który samemu panu Welkesowi — co to ma własny kantor na rogu, jest Anglikiem i prawie że mówi po angielsku — nie chce kłaniać się pierwszy na ulicy, dla pana Ignacego znajdował zawsze jakieś miłe słówko, nie wspominając już o nieograniczonym kredycie. A panowie Zielenkiewicz, Zawadzki, Perlbaum... — ktoby zresztą wszystkich wymienił! — cały ów populus górci bez mała za zaszczyt uważał sobie niedzielne domino z panem Ignacym.

Teraz pytanie: skąd taki człowiek może przyjść do żeniaczki z chórzystką? Predyspozycja, nieszczęsna predyspozycja! Od chłopięcych lat ciągnęło pana Ignacego w stronę teatru, a równocześnie z obfitym zarostem ustalił mu się w duszy ideał kobiety-artystki. Szczególniej śpiewaczka, diva... bogowie! — sam dźwięk tego wyrazu fascynuje, nie dopiero lekki, roześmiany, nad miarę rozkoszny jego przedmiot. Zawsze, ilekroć któraś z tych dam, niepojęcie szeleszcząc jedwabnemi dessous, zwycięsko wkraczała do bławatnego sklepu, pan Ignacy tracił głowę momentalnie; mienił się, wszelkie okrągłości więzły mu w gardle, a stereotypowo-słodki uśmiech drgał i wiądnął na licach, jak zerwany mak w gorącej ręce. Kosztowało go to nieraz, bo jakże kłócić się o kopiejki z boginią? Lepiej dołożyć samemu... Tak, tak. I trzebaż przy takim usposobieniu, żeby go pryncypał wysłał z rachunkiem do garderoby operetki!... To jakby owcę pchać do lwiej jaskini! Pan Ignacy poszedł, rzecz można, z sercem w dłoniach, gotów złożyć je każdej w ofierze. A przyszła pani Ignacowa miała właśnie różowe trykoty i zamiast r mówiła h... No i...

Dość, że górcza wcale nie aprobowała tego małżeństwa. Przeciwnie. Na pierwszą wieść o zaręczynach „dyrektor“ Sandecki, stare i doszczętnie wypłowiałe kabotynisko, wzniósłszy czarnozielone brwi do równie ubarwionych kotlecików i z artretyczną elegancją kiwając wskazującym, o ogromnym, a cudzym sygnecie palcem, wyrzucił ze spróchniałej paszczyki zdumione i radosne: „Ho, ho, ho“! I zaraz za-

kaszłał się, czy zaśmiał — „he, he!“... A nikt lepiej od dyrektora nie zna sfer artystycznych. Na górcie zaprzestano mu nawet ręki podawać z powodu krzywdzących insynuacji pana Welkesa, że ponoś gdzieś tam... komuś coś ułatwia... z Erosa zyski ciągnie... Zato w kwestji cnót tej lub owej dziewicy z teatru dyrektor wyrokuje bez apelacji. Nikogo więc nie zdziwiło, gdy miejscowy Don Juan, pan Sikorski, odrazu w czasie uczyty weselnej „brał się“ do panny młodej obcesowo, choć z właściwą zawodowi dystynkcją, a złośliwi jedynie fatalnemu nadużyciu gorących trunków przez Don Juana przypisywali nienatychmiastowe uwieńczenie jego miłosnych zabiegów... Lecz tylko złośliwi, bo i cnota pani Ignacowej miała również swych wiernych: przeważnie ludzi poważnych, żonatych, dietnych, ze stanowiskiem. Obie strony przepierały się na górcie co wieczór, kantorowicz Perlbaum urządził nawet małego totalizatora na boczkach... „weźmie, nie weźmie... można i na francuski... hi, hi!“

Pan Sikorski wypłynął na widowie publiczną. Podjudzany przez swą partję zdumiał nad miarę, w samych już ruchach nabiał godności, rozumiejąc, że każdy jego krok teraz jest czynem poniekąd społecznym. Cała ambicja Don Juana spoczęła w upadku pani Ignacowej: do sparciałej rzodkwi da się porównać jego męski prestige, jeśli on, „brat cioteczny“ wszystkich szwaczek dzielnicy, on, bezinteresowny „Kizia“ niejednego, jak się chełpił, „dmimonda“, którego i doktorowa nie zdziwi, on — nie poradzi sobie z chórzystką! Pan Sikorski bywał

u Ignacostwa, bywał wytrwale, aż do siódmego potu. Warunki przemawiały za nim: bo to i przystojność, i aksamitne tony w głosie, a nadewszystko multum wolnego czasu, którym, jako agent od ogłoszeń, rozporządzał do woli, podczas gdy pana Ignacego noc zwalniała od orki. I mimo wszystko historia trwała coś przeszło pięć miesięcy... „Nawet i diva-dziewa — ma swoje niespodzianki“, — wedle subtelnego aforyzmu pana Feliksa, fryzjera. Don Juan zółkł z wściekłości, otrzymując na swe zaklęcia i prośby ze słodkich ustek pani Ignacowej jedynie rozemdlone wyznanie: „Kiedy bo... kiedy on taki dobry“... Przez długie pięć miesięcy!

Któregoś wreszcie dnia pan Sikorski przyszedł na górkę z promieniejącym obliczem i, ciężko opadszy na najbliższe krzeselko, że to niby zmęczony, wypalił jeden tylko wyraz: „Jest“. Dopieroż zerwała się burza! Nawet markier z panem Welkesem, obaj niebiorący czynnego udziału, przerwali grę po złotówce i, wsparci na kijach, ciekawie nadstawili ucha. A partje! partje!

— Nasza wzięła! Całą długość wzięła! Wiwat, Sikorski!! — darł się totalizatorowicz Perlbaum, biegając od stolika do stolika. — Kto mówił, jak nie Perlbaum mówił! Bravo, Sikorski! Bravissimo, Sikorski!

— A podstaw który temu wróblowi kija, żeby usta! — huknął z kąta grzmiący bas pana Wrześniewskiego z przeciwnej partji.

Ale go nikt nie słucał.

— Sikorski!! Sikorski!! Dać go tu! — wrzeszczały zewsząd radosne głosy.

— Tęgi chłop!

— Nie od parady wąsa dźwiga, oho!

— Niczym francuska kwadra do środka!...

Wlazła, jak strzełił! — podziwiał melancholijnie Długi, od rana pozbawiony okazji do wykazania swego kunsztu.

— W górę Sikorskiego! W górę!! Dalej, raz! Tak... Dwa!

— Złoto, nie chłop! Pięć miesięcy chodził, a na pewniaka!

— Cicho, Cicho!

— Czego Perlbaum cicha? Sikorskiego w górę!

— Cicho, mówię!!

— Dajcie Perłowi mówić, to Baum posłucha!

— Niech opowie swojej babce...

— Cicho, do diabła!! Niech sobie pomówi!

— Ja wam co powiem, chłopcy! My potrzebujemy szampana na ten wypadek!

— Słusznie mówi!! Słusznie! Dać szampana!

— Oho! ten ma rozum! Rozwiązać Sikorskiemu język!

Niejaki „Tatar“, indywiduum o zgoła tajemniczych środkach utrzymania, serdeczny zresztą Długiego przyjaciel, zaczął obchodzić salę z pogiętym melonikiem, a miną tak uroczystą, iż co najmniej mógłby zaprzysiąc bezinteresowność jego zamiarów. Spotkawszy się jednak z ogólną nieufnością, bez obrazy odstąpił tej funkcji panu Feliksowi. Sympatje partyjne wystąpiły teraz na jaw z oczywistością: antagoniści, rozumie się, nie dali nic, pan Welkes zawiadomił zgromadzonych, że, gdy

zechce, ma szampana — Mumm, extra dry — u siebie, a pan Aleksander wzruszył po prostu ramionami. Mimo to, zebrawszy wcale pokąźną sumkę, pito z całego serca. Tryumfator Sikorski już po godzinie padł ofiarą swego zwycięstwa i musiał być wywleczon z zakładu przez rozrzewnionych druhów; reszta darła się, wiwatowała i lała w siebie bez pamięci. Na „tych od cnoty“ sypały się docinki coraz ostrzejsze, przechwałki coraz bezczelniejsze. Długi, rozwalony na krześle, jak basza, wyzbywszy się doszczętnie wrodzonej małomówności, krzyczał poprzez oba bilardy do grawera, pana Zielenkiewicza:

— Panie Zielenkiewicz, partyjczkę, co? Uczciwie; jak Bożię kocham nie o pieniądze! Pańska żona, — moja żona... idzie? A żem kawaler-sierota, dam Krzywą Mańkę w zastępstwo... Jazda, panie!

— Odczep się pan, tłumaczę panu grzecznie!

— Ja przecie tak... po przyjaźni! Nie chce pan Mańki, będzie Ignacowa!... U nas to piorunem.

— Albo dziedziczka, jak z hrabią z wojażu wróci!... he, he... — wtrącił z boku Tatar z błogim uśmiechem na ospowatej gębie.

Pan Wrześniewski zerwał się, zaperzony, ciężko dysząc.

— Ja ci, Tatar, mówię!... Stul pysk, chamie jeden, bo na marmoladę spiorę!!

A już i Tatar się podniósł.

— Z czym do gościa? Nie ostro, nie ostro, panie pan, bo wywróci!...

Bóg wie, do czego by doszło, gdyby w ten wo-

jowniczy nastrój nie wpadł suchy, spokojny głos markiera, jak zawsze trochę śpiewnie i z rosyjska:

— A ja panom radzę bez awantur. Ot co!

„Rady“ pana Aleksandra ze względu na jego niezwykłą siłę umiano cenić już w wojsku, za podoficerskich czasów; cóż dopiero tutaj, gdzie naturalny autorytet markiera i dzierżawcy bilardów powiększała jeszcze potęga finansowa. Rzadko kto nie był w interesach z panem Aleksandrem, który, według tajemniczych wersji, posiadał nawet własny dom w Wilnie. Ba, ba—pan Aleksander! Wystarczyło mu teraz szepnąć kilka słów do Długiego, a wyniósł się natychmiast z Tatarem, posłuszny, jak jagniątko; cnotliwa partja też się rozeszła po kominkach. Jedyne pozostały gość, pan Welkes, wypuściwszy bez pośpiechu ogromny kłęb dymu, mrugnął na pana Aleksandra znacząco:

— Hołota, hm?...

I zaraz wydał dolną wargę.

Tak, tak! Umiął pan Aleksander załatwić się ze swą czeladką, lecz i w jego ręce nie daną była władza nad duszami. Skandalu, zajmującego umysły przez pięć miesięcy, nie wyrzuci z głowy na czyjś rozkaz — to trudno! Tymbardziej, że awantura podnieciła tylko ogólne zainteresowanie. Przez kilka jeszcze wieczorów adwersarze boczyli się wzajemnie, sytuacja trwała w naprężeniu, lecz szukano wyraźnie jakiegoś modus vivendi. Więc też pełną taktu uwagę pana Feliksa, że, „właściwie, o co chodzi? przecie to Ignac wszystkiemu winien!“ — przyjęto z zapałem, jako złoty most

do powszechnej zgody. Szczególniej „cnotliwi“ chwycili się tej myśli żarliwie. Oczywiście, że Ignac winien! Co mogło być innego z tego małżeństwa? Na co się, zresztą, zdało bronić honoru byle osła? Jak po raptownym odszpuntowaniu napełnionej beczki, lunęły wyzwiska i kpiny na Ignacową głowę.

— Trąba olchowa!

— Walić było w babę, jak w puzon, zarazby jej odeszło!

— Ja bobym grosza nie dał, czy on co... wogóle... Że to o dziecku ani słyhu!

— Mokry pudel!

— Bizunów na takiego mało!

Pan Sikorski teraz dopiero rozpoczął obfite żniwo powszechnego uznania. Na niedyskretne zagadnienia górki dawał wyjaśnienia wyczerpujące, opisy i przemilczenia tak subtelne, przyzwoitość łączył z wdziękiem tak pornograficznym, że słuchaczom, co młodszym, występowały na lica ceglaste rumieńce, a starsi dusili się po kątach od krótkich, łaskoczących śmieszek... Ach, ci starsi, poważniejsi! Badali rzecz gruntownie, walcząc o szczegóły i szczegółiczki. Ciekawość ich miary nie znała. A co? a jak? a gdzie? Taki pan Wrześniewski, choć niby ciągle tyłem do Tatara i Długiego zwrócony, ku ich zresztą ironicznej uciezce, przy każdym z rzewniejszych ustępów opowieści walił się po kolanie, aż trzeszczało:

— Dobrze zrobione! Niema co, panie, majster z młodego!

Był to zaś pewnie najłagodniejszy wyraz ogólnych uczuć.

I w taką to atmosferę padło którejś soboty zdanie, jednym ciosem burzące gmach osiągniętego spokoju. Podczas miłej konwersacji o znamieniu pod lewym ramieniem, grawer, pan Zielenkiewicz, znany co prawda przekora i wątrobiarz, wysłuchujący dotąd wszystkiego w złowróbnym milczeniu, ni z tego, ni z owego roześmiał się prosto w nos panu Sikorskiemu:

— Ta, ta, ta... W gębie pan mocny... Tylko że na szczekanie każdego stać!

Jakby kto płonąca głownię w proch cisnął. Sikorski zbladł.

— Jak to pan rozumie?!

— A tak to!... właśnie! Daj pan dowód, to uwierzę!

Zapadła zdumiona cisza. Cóż to ma być znowu?! Wątpi? Sam jeden przeciw wszystkim? Całą górkę, która z nabożeństwem słucha, ma za durniów, czy jak? I cóż ten Sikorski? Cóż on na to? Miesza się... Języka w gębie zapomniał?...

— Przecie mówię panu... Znamię...

Zielenkiewicz nabiera tonu złośliwego tryumfu...

— Znamię, znamię!... Pan ma na rozumie znamię... i to ciężkie! Tak, panie.

Sikorski odmruknął ledwie pod nosem... Ale już pan Feliks w imieniu ogółu podejmuje rękawicę z właściwą godnością:

— Więc pan Zielenkiewicz dowodu żąda... tek, tek!... I nie wierzy?

— Ani krzty!

— A o dowód trudno... Bo, na ten przykład, po szczypaniu choć ślady zostają, a gdybym zechciał tych panów przekonać... no, toć połowicy pańskiej oględzinom publicznym poddać nie wypada... tek! Że to i szacuneczek ogólny, i wiek nie po temu...

Sala ryknęła z ulgą. Ha, ha, ha, ten pan Feliks! Najmniejszemu smykowi z podwórka wiadomo, że pulchne wdzięki pani grawerowej pokryte są sińcami, jak po obcęgach, i że to znaki karesów czy gniewów małżonka. Dogodził mu, ha, ha! Pan Zielenkiewicz aż syknął w pasji:

— Błazeństwo! A ja dalej chcę dowodu i za kpa mam każdego, kto wierzy byle ładnym oczom...

— Hola, hola! Miarkuj się pan!

— Panie grawer! Żeby kto panu w co nie wyrzynał!

— ...bo to i królową hiszpańską oszczeka! Byle się pies znalazł! Tfu!

— Patrzcie go! Moralista!

— Cacko wątrobiane!

Zielenkiewicz zapamiętał się w złości. Tupiąc nogą, wrzeszczał opętany dyskantem:

— A ja nie wierzę, nie wierzę, i nie wierzę!

— To sobie nie wierz, o! Prosić go pewnie...

— Ładny mi kontroler!

— Nie wie-e-erzę!!

— Poszczyp własną nogę, to ci ulży!...

Hałasowano, by zdusić własną niepewność. Bo że dowcip pana Feliksa nie przesądza sprawy —

toć jasne! Tu trzeba argumentów rzeczowych, dowodów bitych, namacalnych. A cóż Sikorski? — ani mru-mru... Siedzi, jak przymurowany, rozciera czoło i myśli. Iii... czasu szkoda: taki prochu nie wynajdzie! Wskazując go sobie oczyma, wzruszano ramionami z irytacją.

Nagle Sikorski wstał. Pst! Pst!... będzie mówił. Zaległa kościelna cisza. On zaś wytknął palcem Zawadzkiego, subiekta w sklepie galanteryjnym. Pytania i odpowiedzi rozbłysły, jak szpady w słońcu.

— Panie Zawadzki! We wtorek była Ignacowa w sklepie?

— Była.

— O podwiązki chodziło? Tak?

— Tak.

— Pozna je pan?

— Oj-oj!

— Dobrze! Dziękuję panu.

Teraz zwrócił się do sali. Spojrzał dumnie, owiewając wszystkich natchnionemi oczami, jak czarnym atlasem. Słuchajcie! Słuchajcie! Pan Zielenkiewicz otrzyma żądany dowód! Słuchajcie! Jutro o trzeciej, podczas Ignacowej gry w domino, on, Sikorski, odwiedzi samotną małżonkę...

— Bravo, bravo, Sikorski!

— To głowa!

Cicho! jeszcze nie wszystko! Otóż: odwiedzi samotną małżonkę, a, jako trofeum, przyniesie z tej wyprawy podwiązkę, kupioną u pana Zawadzkiego. Czy to niewiernym Tomaszom wystarczy?... Pan Zielenkiewicz milczy? Więc mu wy-

starczy. Cicho!! Dla uniknięcia zaś przykrych zakłóceń, Tatar, w razie niebezpieczeństwa, da znak chusteczką z okna.

— Idzie, panie Tatar?

— Idzie! Co ma nie iść?! — Tatar aż się zachłusnął pod nadmiarem zaszczytu.

Sala zawrzała. Lecz pan Sikorski nie daruje ani kropelki z zamierzonego efektu! Ciszej! Chwilę tylko! Odziewszy lica miękkim uśmiechem, pytał już wprost ponurego grawera:

— Pan Zielenkiewicz pozwoli, że owo corpus... tego... delecti... złożę w hołdzie szanownej żonie pańskiej?

To się nazywa wykwint! Niedarmo pan Sikorski cieszy się powodzeniem nawet w wyższych sferach.

Pan Zielenkiewicz, zmierzając ku wyjściu, mruczał z kolei półgłosem:

— Poczekaj! Jeszcze się narwiesz! Jeszcze ci tego pomadowanego łba nabiją, tryku!

Lecz ktoby nań jeszcze uwagę zwracał! Entuzjizm wybuchł, jak huragan. Co się tam wtedy działo! Taki Perlbaum, chwyciwszy się za skronie, jakby w napadzie migreny, biegał wzdłuż bilardów, kiwając się w zachwyceniu.

— Ja wam powiem, ten Sikorski! Aj, aj, aj, co to za głowa! co to za głowa! Jemu ministrem być, jemu redaktorem być z taką głową! Co to ministrem?! co to redaktorem?! — jemu bank założyć z miljonem obrotu!! Ja byłbym u niego wtedy za portjera, ja miałbym piękny dochód!



I, stanąwszy nagle pośrodku sali, zamachał konwulsyjnie rękami, czerwony ze wzruszenia.

— Ja tu jutro cały kantor sprowadzę! Co kantor?! — cały dom! całą ulicę! Niech patrzają! Niech się uczą! To jest niesłychany witz! To jest... aj, aj, aj! to jest ciastko! to jest ananas!

Cała kamienica była w ruchu tego wieczora. Sensacyjna wieść rozległa się po wszystkich piętrach, od suterenu aż do poddaszy, zajrzała nawet na frontowe schody, budząc wszędzie jednako potężny efekt. Bo też przedsięwzięcie wprost niebywałe! Tak w biały dzień, na oczach prawie męża, wobec tłumu świadków — widziane to kiedy rzeczy?! Cóż wobec tego rodzina? moralność? Pusta skorupa, niesmaczny żart z łatwowiernych! Już i tak oburzenie poważnych lokatorów, sarkających na górkę, jako na siedlisko społecznego rozkładu, granic nie znało. Niejedna co młodsza żona spłakała się serdecznie pod chłostą niesprawiedliwych zarzutów, a i mężowie starszych, tłukąc się po mieszkaniu w pantoflach, z surową groźbą w oczach rozpamiętywali przeszłość małżeńskiego pożycia, „bo to nic, nic... a djabeł nie śpi“... Tylko pana Ignacego nikt nie ostrzegł.

Nazajutrz już o drugiej górka była pełna, jak nigdy. Wokół bilardów i stolików snuły się dawniej nie widziane twarze, zwabione wieścią o skandalu. Dwu studentów z czwartego piętra zajęło miejsce w kącie, wysunąwszy pogardliwie nogi na środek i nie usuwając ich przed nikim, prócz markiera. Powszechną konsternację wywołało wkro-

czenie Długiego z kolegami o tak interesującej powierzchności, że pan Aleksander widział się zmuszonym do interpelacji i pozostawił ich dopiero wobec solennej obietnicy taktu i milczenia. Zresztą starzy bywalcy sprytnie obsadzili okna od podwórka, naprzeciwko mieszkania pana Ignacego. Coś się chyba półrocznym promotorom akcji należy! Nie brakowało nikogo: ba! — pan Zielenkiewicz, nie-nawistny pan Zielenkiewicz, siadł sobie najspokojniej z jadownicie zaciśniętymi ustami obok studentów, ani zważając na ogólne sykania.

Trochę przed trzecią wpadł przedziwnie elegancki pan Sikorski. Żółta laseczka, jak batuta, nakazała milczenie entuzjastom — czasu mało.

— Tatar jest?

Od okna wionął olbrzymi czerwony fular.

— Mnieby nie było? Sygnał sprawiłem, że choć na kolej! Patrz pan, o!

— Później! Partja dla pana Ignacego gotowa? Pan Wrześniewski, pan Feliks, dobrze... no i? I kto?

Perlbaum zaniepokoił się.

— Dla czego bym ja nie miał zagrać? To będzie ciekawa partja.

— Pan?

— No ja. Ja gram, jak każdy inny, może lepiej, może dwa razy lepiej! Ja pana proszę...

— Ale dobrze, dobrze! Uff!...

Pan Sikorski opadł na najbliższe krzesło, ocierając batystem uznojone czoło. Z głęboką satysfakcją udawał, że nie widzi natrętnych spojrzeń

obcych przybyszów, poił się pełnym uznania pomrukiem tłumu... Uczucia te pokrywały w nim tajemną niepewność, bo nuż się Ignac dowie? Dla zmożenia strachu, subtelnymi ruchami wystawiał na pokaz kremowe, wysoko podwinięte spodnie i lakierowane półbuciki.

Naraz od podwórka załopotały przyciszone szepty: „Idzie!... idzie!...” Rzucono się gwałtownie do okien z taką żarliwością, jakby pan Ignacy miał wyglądać inaczej, niż codziennie. No tak — idzie. Średniego wzrostu, krępy, o łagodnych siwych oczach na starannie wygolonej twarzy. Uwaga, uwaga! stanął. Mrużąc powieki przed odbitym w szybach słońcem, patrzy w okna swego mieszkania. Sekunda. I zaraz kroczy dalej z uśmiechem. Ten prosty ruch wywołał nieme poruszenie zebranych: jakby wyrażając ogólną myśl, pan Zawadzki przeciąga z niejakim zdumieniem:

— Ooo... obejrzał się...

Dyrektor, wykrzywiając gumowe oblicze, akcentuje również:

— Pożegnanie... tego... czulej Andromachy... he, he!...

Nikt go nie podtrzymał. Wszyscy zajęli poprzednie miejsca, nie odrywając wzroku ode drzwi, ogarnięci niejasnym wrażeniem, ni to wstydu, ni to podniecenia. Liczono mijające chwile. Teraz wszedł w bramę... jeszcze kilka kroków... boczny korytarzyk... i jest. Jest rzeczywiście. Sikorski drgnął niespokojnie. Że też mu strzeliło się na samym brzegu!

Pan Ignacy uściskał podaną dłoń kordjalnie.

— Panu Sikorskiemu!... Jakże interesa? Kulejący, lecz idące, co?

— Tak... dziękuję. Pomalutku...

Uff! Sikorski z ulgą, pełną złośliwej radości, podziwia głupie miny współtowarzyszy, których pan Ignacy obchodzi kolejno z powitaniem. Każdy, jakby garść pieprzu połknął! Długi tylko szczerzy mu zęby w same oczy. No, ale — Długi!

O parę kroków od dyrektora pan Ignacy skręca na pięcie. Ów posłał momentalnie wzrok w przestrzeń i przygotowaną prawicą bębni po blacie stołu, niby w zamyśleniu.

Jeszcze kilka wyciągniętych dłoni. — Dzień dobry kochanemu panu Aleksandrowi! Godbay, panie Welkes! — no, chyba wszyscy? Nie, z kąta, jak rozsypany po blasze śrut, biegnie skrzeczący, przesadnie uniżony głos pana Zielenkiewicza:

— Najniższy szacuneczek panu Ignacemu dobrodziejowi! Za zaszczyt sobie... he, he... uważam powitać...

— A, pan Zielenkiewicz! Jakże zdrówko małżonki?

Sikorski zdrętwiał. Djabeł wie, co staremu do łba strzeli? Wygada ze złości — i co?! Serce tłucze się w nim rozpaczliwie. Lecz nie, nic... dzięki Bogu... Pan Ignacy zwrócił się teraz do ogółu:

— No, jakże tam z dominem? Partyjczkę, niedrogo...

Wszyscy opuścili głowy, niby na komendę, prze-

syłają tylko nawzajem inteligentne spojrzenia. Sam lezie, jak gil w matnię. Aż dziwne!...

— No, panowie! Czas, to pieniądz!

Pan Feliks ledwie wykrztusił w zakłopotaniu:

— Ależ koniecznie, koniecznie! Z panem... O! i pan Wrześniewski... dobrze? co? Perlbaum może?

Rządca odmruknął coś niewyraźnie przez wiechy wąsów. Perlbaum zato okazał się pełen bohaterskiej decyzji:

— Ja? Ja jestem oddawna gotów!

Oddano im najwygodniejszy stolik, usuwając się pośpiesznie, jakby na rozkaz. Ta usłużność i naprężone milczenie na tak hałaśliwej zwykle górcie przejęły Sikorskiego nowym strachem, aby pan Ignacy czego nie spostrzegł. Lecz nie. Nie widział ani zmieszanych min otaczającej galerji, ani wyraźnej kpiny w oczach Długiego, ani plugawych uśmieszków dyrektora. Gra rozpoczęła się na dobre.

Wówczas, poszeptawszy z Tatem, Sikorski ruszył ku wyjściu, czując na sobie wzrok całej górci. Koło samych drzwi, w zupełnym już bezpieczeństwie, skłonił się z ironją.

— Uszanowanie panu Ignacemu!

— A do widzenia, do widzenia... Teraz, panie Perlbaum, mydełko — i szlus.

Ciężki nastrój prysł wobec komizmu sytuacji: sala parsknęła śmiechem. Tego już było za wiele panu Zielenkiewiczowi! Czerwony z gniewu, zaklął siarczyście:

— Tfu! Psiakrew!

Odpowiedział nowy wybuch śmiechu. Wtedy wyszedł, trzasnąwszy drzwiami z łomotem. Wesołość rosła. Śmieli się dalej, zaraźliwie, pobudzani naiwnym zdziwieniem pana Ignacego. Nie, — nic, nic — tak sobie... Stary zwarjował najwyraźniej, robi awantury bez żadnej przyczyny. Sikorskiego znieść nie może. Zazdrosny chyba o żonę, kto wie? Ha, ha!...

Uspokojono się pomału. Wobec braku nowych podniet górci przybrała normalny wygląd; bezczynnym zaczęło być nudno. Siaki taki wychodził na miasto, obiecując sobie wrócić później, na zakończenie. Sala pustoszała. Nawet Tatar z chusteczką darł ziewaniem ospowatą paszczękę, drażniąc się dla rozrywki z dzieciakami na podwórku. Długi, po pracowitej namowie, skłonił wreszcie jednego ze studentów do partyjki i ogrywał go teraz z precyzją i żartobliwym szacunkiem. Dobięgało tylko suche łomotanie zderzających się bil i częste sprzeczki przy dominie.

Bo gra wzięła tam obrót wcale nieoczekiwany. Potrzebna li dla odwrócenia uwagi bohatera, zamiast zostać reżyserskim intermezzo w zabawnej komedji, stała się zwykłą, ordynarną grą o zysk i stratę. Perlbaum pojąć wprost nie mógł, co się to dzieje! Czy on siadł przy stoliku, żeby przegrać do pana Ignacego pięć rubli? Albo żeby napchać kieszenie panu Feliksowi? Małe dziecko zrozumie, że nie. On tylko dla żartu, dla śmiechu wdał się w ten głupi interes. A tu już pięć rubli poszło — i co dalej, co dalej? Każdy świeżo wyjęty pieniądz

przewracał mu żółć boleśnie. Czy jemu chodzi o wszystko? Nie, już tylko trzy ruble odebrać, własne trzy ruble! Niech ich zresztą djabli! O!... ta partja prawie wygrana: wiedzieć tylko, co ten gruby, sapiący szlachcic trzyma w palcach. Tylko tę jedną bagatelkę, taki drobiazg...

Raptem huknął zaperzony bas pana Wrześniewskiego:

— Niech mi tu Perlbaum nosa nie wtyka, bo mu go skrócę! Patrzcie-no!

— Gdzie wtyka?! Jakie wtyka?! Pan dziedzic spał, niech się pan dziedzic obudzi!

— Milczeć! Zębów mi nie zamawiać, kiedym widział! To u siebie!... Na Nalewkach!... sposoby!...

Perlbaum zerwał się, roztrzęsiony, jak galareta.

— No i czego się jaśnie dziedzic ciska?! On teraz nie na swojej wsi, on teraz w meldunkach gospodaruje i nie musi być taki dumny! A że dziedzic dwa ruble przegrał, to ja mogę oddać! Dla mnie żaden cymes!!

— Bodajeś zdechł!...

— Co to zdechł?! Co to za gadanie jest?! Niech dziedzic sam zdechnie!

— Ależ panowie!... panowie!...

Wrześniewski, purpurowy z gniewu, kipiał, jak zapomniany na kominie sagan. Nic nie pomogły łagodzące giesty pana Feliksa.

— Ja do sądu, panie... całą sprawę!... Żeby mi taki, panie, żydziak!...

— Do sądu, to do sądu! Oj, oj! Zaco on mi

będzie wymyślał?! Czy kto co widział? Może pan Feliks widział? Nie?! Może pan Ignacy widział?!

Przekrwione oczy pana Wrześniewskiego ledwie nie wyszły z orbit na taką bezczelność; wyciągniętemi rękami domagał się boskiej i ludzkiej sprawiedliwości. Pan Ignacy bąknął niechętnie:

— Ano... że raz zerknął, tom widział. Tylko poco zaraz hałasy...

Perlbaum aż podskoczył na miejscu, nie dbając już o przeciwnika. Dusząca, jak zatruty żar, wściekłość na pana Ignacego odebrała mu wszelki rozsądek. Jak to?! Co on sobie, ten głupi Ignac, myśli? Czy nie przezeń Perlbaum wpakował się w te historje? Nie do niego przegrał pięć rubli? A jeszcze taki wstyd, na całą salę wstyd!

— Co pan Ignacy widział?! Co on może widzieć?! On wcale oczów nie ma! On nie zobaczył nawet, co jemu się żona puszcza! No tak! Co się pan patrzy? Ja się tego patrzenia nie boję! Z Sikorskim się puszcza!... w tej chwili właśnie!...

Nagle uchylił się pod stół, na swoje szczęście dość szybko, by pięść pana Ignacego trafiła tylko w wysunięte ramię. I zaraz potężne szarpnięcie wywlekło go na środek sali, mimo rozpaczliwe krzyki:

— To rozbój jest! To kryminał jest! Aj! aj!

Subjekt trząsł nim, jak starym workiem, dysząc ciężko, z oczyma, obłędnie wlepionemi w pobladłą twarz ofiary. Spotkawszy się z jego mętym wzrokiem, Perlbaum umilkł nagle. Niby nowe ciosy, spadły nań siłą wypchnięte słowa:

— Gadaj!... łajdaku!...

Zatrąkotal z pokornym pośpiechem:

— No, ja zaraz powiem! Co ja mam mówić? Sikorski jest teraz u pana... Aj, aj, panie Ignacy, to wszyscy wiedzą, to nie jest moja wina! O! niech pan patrzy, jak Tatar chustką macha! Na co on macha? Coby Sikorski wyszedł! Pan może sam zobaczyć!...

Pan Ignacy pociągnął go do okna bez słowa. Tatar oddalił się szybko, gwizdząc. Zaległa długa cisza. Odwrócona, znieruchomiła głowa pana Ignacego odcinała się ostro na białym tle kamienicznej ściany. Szczególniej pęczki nieposłusznie sterczących włosów. Nagle w czarnej jamie sieni, naprzeciwko, zamigotały jasne, szykownie podwinięte spodnie. W tej chwili pan Ignacy odtrącił silnie Perlbauma i, usunąwszy się od okna, z dziwnym na twarzy uśmiechem, przemówił, nie zwracając się zresztą do nikogo:

— Bo to ja sam zaprosiłem pana Sikorskiego... Tak.

Wśród ogólnego milczenia przeszedł bezsensownie kilka kroków i, znalazzy się obok swego stolika, mimowolnym ruchem zgarnął rozrzucone kostki domina. Jakby na coś czekał. Ciężko chlasnęły porzucone drzwi. Z kapeluszem w ręku, nie patrząc na Sikorskiego, odezwał się znowu, teraz już do niego wyraźnie:

— A... pan był u mnie... jakeśmy się umówili... To dobrze.

I wyszedł. Widziano go jeszcze z okna, jak kro-

czył przez podwórko, zwyczajnie, może tylko zbyt sztywno.

Sikorski osłupiał. Co to znaczy? Co się tu stało? Na gorączkowe pytania dawano mu odpowiedzi szybkie, zbywające. Miast poprzedniego podziwu wiała ku niemu zewsząd zimna niechęć.

— Panie Aleksandrze! Może choć pan powie... Co się tu stało?

Markier spojrział przez ramię.

— A cóż? Ot, ciesz się pan, że gęba cała...

I naraz, podnosząc głos, żeby wszyscy słyszeli:

— Dziesięć rubli, co miały być „pod słowem“ we wtorek, przyniósł pan? A?

— Kiedy bo pan Aleksander... w takiej chwili...

— A ia pytam: przyniósł pan?

— Jutro przyniosę...

— To żeby ja pana więcej na oczy nie widział! Rozumie?

Gdy zaś tamten, wyjąwszy z kieszeni podwiązkę, bełkotał coś pokornego, markier uciął ostro:

— Paszoł won!

Po sali przebiegł lekki szmer. Oho! pan Aleksander zaczął po rosyjsku — znaczy: źle! Sikorski zrejterował tak pośpiesznie, że Długi ledwie zdążył dopędzić go za drzwiami. Wszyscy komentowali wypadek pocichu; tylko dyrektor Sandecki uczuł się w obowiązku zaznaczyć swe stanowisko wobec banicji.

— Śliczną ma pan Aleksander rację... Bo to wydyma się, lalusz, jakby sama, nie przymierzając,

piękna Helena... A tu co? Nie takieśmy widywali za młodych czasów, przy teatrze... ho, ho!

Takie wykręcenie sprawy oburzyło pana Wrześniewskiego:

— Co mi tam dyrektor baje! Racja, panie, bo racja, ale dla tego, że wogóle, panie, szelma, nicpoytym było, człowieka w nieszczęście wpędził! Jak tam Ignacemu teraz, co?

Ale już ode drzwi czyhał nań jadowity uśmiezek Długiego:

— Miętkie jest jaśnie serduszko, jak ściereczka... Niektóry gotówby zapomnieć, jak to dziedzic basował wczoraj Sikorskiemu.

— Z byle kim nie gadam! A powtóre: wolno śmiać się z tego, co śmieszne, a ludzka krzywda — to znowu inna rzecz! Właśnie, panie!

Pan Feliks pokiwał głową, aprobując.

— Słusznie, słusznie... I pchać się w nią z brudnemi palcami nie godzi. Tek!

— Szczególniej, że pan Aleksander swoje powiedział, a bez kredytu nawet knajpa padnie, nie tylko zakład fryzjerski... — ciągnął Długi ze zwykłą melancholją.

Markier interwenjował oschle:

— Ja pana Długiego za kasjera nie godził, tak niema co gadać.

Uciszone się nagle na radosny okrzyk Tataru:

— Patrzcie-no! Patrzcie! Ignacowa wali!

Jeden przez drugiego skoczyli do okien, tłocząc się i popychając. Eks-chórzystka schodziła właśnie z ostatnich stopni. Ładne oczy na zarumienionej

twarży aż pociemniały z tłumionej, widać, złości. Zstąpiwszy na asfalt, kopnęła energicznie tren wspaniałej, bleu-electrique sukni i szła z szumem przez podwórze, — niestety! zbyt może blisko od cukiernianych tyłów. Nagle Długi wysunął swą tasiemcową figurę i, zgięty w biodrach, jak scyzoryk, podawał jej na bilardowym kiju niebieską, odebraną Sikorskiemu podwiązkę.

— Proszę pani! O! Sikorski zwraca, bo późniejsza opadnie!

Buchnął rozgłośny śmiech. Dama obróciła się z roztargnieniem... i odrazu, ruchem wściekłej pasji, zakryła twarz parasolką. Nastąpił nowy wybuch radości, teraz już złośliwej, połączonej z chęcią obrazy. Posypały się ordynarne drwiny, wyzwiska. Tatar wyliczył z pamięci genealogję pani Ignacowej z naciskiem na linję macierzystą, nawet pan Aleksander zaklął głośno po rosyjsku. Oburzona duma męska, dotknięta w osobie pana Ignacego, stanowczo przechyliła ku niemu opinię gorzki. Długi — dusza, zdawałoby się, do głębin cyniczna, pozbawiona szczypty entuzjazmu — stwierdził teraz z zadowoleniem:

— Ten Ignac! No, no!... Wylał babę na łeb! Lubię!

— A ktoby to takiego, panie, szurgota trzymał?

Długi rzucił nań z boku ironiczne spojrzenie, ciągnąc spokojnie dalej:

— Tylko, że się chłopisko na nic zamartwi, a szkoda, bo ma krzepę! Co, panowie?

— I pewnie...

Zgodnym chórem rozpoczęto ubolewania. Nie godzi się porzucać sprawy w tak bolesnym stadjum; choćby i z własnej głupoty, ale człowiek cierpi... Ba, ba! i jak! Pan Feliks wyraził przypuszczenie, że taki „zchłapek” gotów się z nadmiaru żalu i energii obwiesić na własnych szelkach. Mało to podobnych wypadków w Kurjerze? Oczywiście, oczywiście — potakiwano zewsząd. Lecz Długiego znów opanował duch cynicznej ironji:

— Ii... Żeby się tak o byle co wieszali, zaraz bym otworzył sklep z hakami.

— Dużo pan wiesz!... To trzeba brać psychologicznie, rozumie pan, psychologicznie!... Słyszałeś pan kiedy?

— Nie, pan mnie naucz... A ja myślę, panowie, urznąć chłopca setnie — i po krzyku!

— Sam się pan urznij!

Myśl jednak podniesiono z radosną wrzawą. Jedyną rzecz! Sam pan Feliks opierał się więcej z uporą, niż z przekonania, a resztę ogarnął prawdziwy zapał. Pan Wrześniewski, zbywszy dawnej obrazy, gorąco popierał sprawę wprost w ręce Długiego.

— Bo to, panie, okazać w takiej chwili serce człowiekowi, to jakby go zbawić! Niema, panie, nad życzliwe współczucie!

— Ii... Grunt, że jutro katzenjammerek... i czasu niema się martwić!

— Słusznie mówi! Praktyk!...

— Ba, ba!

— Więc jazda, panowie! Składka po dwa rubelki — nóżki na stół! Dalej!

— Zaraz, zaraz! A kto Ignaca sprowadzi?

— Perlbauma posłać! Ha, ha! On piwa nawarzył — niech idzie!

Skurczona w kącie postać zatrzepotała się gwałtownie.

— My tu wszyscy warzyli — dla czego ja mam być jeden? I pan Feliks warzył, i dyrektor warzył, i pan Tatar, i pan Długi! Zaco wszystko na mnie zwałać?

— I ja myślę, że pan Perlbaum wcale nie winowny — dorzucił markier.

Perlbaum odrazu wysunął się na środek.

— Ja też mogę dać dwa ruble. Niech będzie — chociażem przegrał.

— Dobrze, dobrze! Ale kto pójdzie?

Dyrektor mruknął niedbale, z pełną gracji obojętnością:

— Choćby ja! Zamiast składki, bo mi dziś właśnie... tego... zabrakło drobnych.

Po jego wyjściu zajęto się gorliwie przygotowaniem uczty. Tatar zestawiał kilka marmurowych stolików, wykazując sprawność urodzonego kelnera, reszta towarzystwa klóciła się hałaśliwie o marki gorących napojów. Martell... Martell, trzy gwiazdki... koniecznie!... Sauterne — butelkę?... no, ze dwie. Szampana zato wcale, bo cóż to, panie, ślub, czy jubileusz? Ha, ha!... Zupełnie już ośmielony Perlbaum kręcił się między grupami, jak fryga, co chwila zbiegając do właściwego lokalu

cukierni. Wieści o czynie pana Ignacego wywołały sensację i tam. Panna Melanja, bufetowa, osoba nieco sterana przez czas, o biuście, jak mawiał pan Feliks, „przesadnym“, posunęła rzewność aż do nakrycia stolików czyściuteńkim obrusem. „Niech wie, biedactwo, że są i dobrzy ludzie“...

Tymczasem dyrektor powrócił sam. Wrócił i siadł najspokojniej przy swoim stoliku, z miną zawsze łagodnie obojętną.

— No i cóż? I cóż?!

— A nic. Zamknął się i nie puszcza.

— Dzwonił dyrektor? Stukał?

— Ba! Wołałem, jak na Juljetkę! Głos musiał poznać przeze drzwi — ale nie puszcza.

Pan Feliks namyślał się chwilę.

— Głos poznał, mówi dyrektor?... To pewnie właśnie dla tego...

Wybuchłe śmieszki Sandecki przyjął z tak wytworną nonszalancją, że zgasy natychmiast, jak niepodsypany płomyk. Co innego zresztą zajmowało umysły. Kto pójdzie? Bo tak wracać ze schodów... z niczym — nie wypada. To dobre dla dyrektora. A tu już i przygotowania, i koszta... do djabła!

Tymczasem markier przeciął kwestję po swemu. Powierzywszy bilardy panu Feliksowi, wyszedł, nim dowiedziano się, o co chodzi. Dopiero, widząc na podwórzu jego rosłą postać, górka od dała się niepohamowanej radości, pewna teraz swej sprawy.

I słusznie. Bo pana Aleksandra niełatwo byle

czym zrazić! Dostłyszawszy po długich, a bezskutecznych kołatanich jakiś ruch w przedpokoju, schylił się do dziurki od klucza, oznajmiając ze zwykłym spokojem:

— To ja, markier. A jak pan Ignacy sam nie otworzy, tak ja drzwi z haków zsadzę!

I podparł ramieniem klamkę, aż zgrzytnęły przedzewiałe zawiasy. Zaraz obrócił się klucz w zamku i z cienia wyjrzała szara, bólem ścięta twarz subiekta.

— A, pan Aleksander!... Czym mogę...

— Ot, niech pan Ignacy przez próg puści, bo ja w sieniach gadać nieprzywykły.

Gdy zaś już byli w pokoju:

— Ja pana nie przyszedł pocieszać. To babska rzecz, a ja żołnierz. Powiem krótko: splunąć na całą sprawę!

Pan Ignacy ani na moment nie wzniosł opuszczonej głowy. Jakby nie do niego mówiono.

— Nu, panie Ignacy! I nam te historie znajome... W pułku, Bogu dziękować, kochanek u nas nie brakło... Rosjanki były, i Niemki, i swoje też... Zdradzały mnie, i ja zdradzał — różnie bywało... Tylko że wagi w kobiecie należytej niema...

Po chwili milczenia:

— Mnie pana żal, bo ja i sam przez baby wiele cierpiał... Nu, panie Ignacy, powiem ja panu po sekretu... Tu myślą, że ja wdowy, tak. A u mnie samego żona ze sztabs-kapitanem uciekła... Dla tego ja z wojska wyszedł.

Markier mówił o tym niechętnie, ze zmarszczo-



nemi brwiami. Łatwe do wycucia, niewygaśnięte cierpienie ostro zahaczyło o ból pana Ignacego. Niby jeden ton z dwojga naraz skrzypiec. Subjekt odezwał się głucho:

— Uciekła? A pan co?

— Wiadomo co... Zęby ja zacisnął i kapitana zwierzchności do kary przedstawił. Sam w cywila się przebrał, ot, jak teraz — cierpię i czekam. Niedługo, myślę, z lubym zabawisz. I na moje wyszło. Wróciła...

— Wróciła?...

— A co jej było robić? Wróciła i do nóg się wali. „Tak i tak“, mówi, „przebacz, w szaleństwie ja, ciebie tylko kocham jednego“... i różne podobne... Nogą ja ją odtrącił lekko... „Poszła won, taka córko!“ Tylem jej i powiedział.

— Surowy pan bardzo...

— Tak to tak, ręka u mnie nie lekka... — potwierdził markier w zamyśleniu.

I zaraz, ocknąwszy się, klepnął w ramię subiekta.

— Nu, panie Ignacy! Pomartwił się — i przestać pora. Ot, tam chłopcy wypić panu przygotowali, czekają! Pójdziem wypić! Ulży, panie Ignacy... po sobie wiem... I znowu im pan gębę zatka, kiedy zobaczą, że pan nic, sam się śmieje... Tak trzeba. Hołota oni, prawda — ale zawsze taki życzliwość okazują. Pójdziem, panie Ignacy!

Ten zaś ścisnął głowę, nisko na rękach opartą, i skarżył się cicho, prawie do siebie:

— Surowy pan był... A ja, a ja... zmiłuj się,

Boże! Chuchałem, dmuchałem, jak na pieścidełko, żeby tylko dogodzić, żeby się cieszyła... Praca do wieczora, a jeszcze nocami księgi prowadził, aby jej tylko na niczym nie zbrakło... I co? I co? Suknie miała, panie, jak królowa; cukierki, kwiaty nosiłem, jak na konkurach, wierzyłem, jak w sakrament — nic, nic nie pomogło... Pierwszy przystojny błazen... Dla czego tak, panie Aleksandrze? Zaco?!

Markier gładził się pod brodę z powagą.

— Natura ich psia, panie Ignacy. I obchodzić trzeba się, jak z psem. Złup skórę rzemieniem do siódmego potu — lizać będzie, ogonem machać z radości... Ot, plunąć, panie Ignacy! Pójdziem pić!

Gdy wreszcie przyszli na górkę — pan Ignacy jako-tako spokojny — tam długą już chwilę trwało próbowanie dostarczonych trunków. Rzewność panowała w towarzystwie niezwykła. Od progu zaraz ujrzeli Długiego, jak, złożywszy rękę na ramieniu rządcy, z nieprzeniknionym uśmiechem słuchał jego czulej przemowy:

— Młokos pan, panie Długi, jesteś, szacunku ci, panie, dla siwego włosa brak, ale i w tobie bije serce ludzkie!... Nic nie mów — ja, panie, lepiej wiem! Udajesz, panie, tony, szurum-purum, jak indyk, a wewnątrz czyste złoto! Tak, bracie!... Nalej...

— Pan Ignacy! Pan Ignacy!

— Co? Pan Ignacy? A nalaćże mu!

— Bliżej! Tutaj! Na honorowe miejsce...

— Zacne z pana, panie, chłopisko — siadaj pan po prawicy! Sam nalej, panięską rączką...

— Dziedzicu! Adyć nie w pełni!...

— Co mi tam, panie, gada... Dla takiego i obrusa nie żal!

— Odrobinę staruszka zawiąło... he, he... — tłumaczył dyrektor z zażawionemi oczyma.

Pan Welkes przystąpił od sąsiedniego stolika z kieliszkiem portwejnju.

— Napij się pan... Porządny z pana człowiek, panie Ignacy! Welkes to mówi.

— Ho, ho! Nawet mu i świadectw nie potrzeba!... — ironizował pan Feliks, kiwając się arogancko na krześle.

Tylko panna Melanja, z biustem, złożonym na ramieniu pana Ignacego, o mało nie zepsuła miłego nastroju, szepcząc mu wdzięcznie do ucha:

— Niech się pan nie martwi, panie Ignasiu... Nie wszystkie takie... o nie! Są i dusze wierne, kochające...

Pan Ignacy zbladł. Ale jej zaraz przerwano:

— Co tam pani plecie, o! Tu nie biuro stręczeń!

— A idźże, duszo wierna, do kaduka!

— Wymawiam sobie ordynarność! Też wychowanie... ze stajni!

— Patrzcie-no! Babus stary, jak piramida, próchno się sypie, i zaraz z rączką...

Po kilku wypitych kieliszkach w głowie pana Ignacego świat zawirował lekko i przyjemnie. Zacni oni są jednak, delikatni... Ani śladu zakłopotania! Niewiadomo nawet, za czyje to wszystko pieniądze... Aha! Złożyli się pewnie, przyjmują go... Tak.

Na pewno. Tylko jakby kogoś brakło? Kogo? Tu siedzi pan Wrześniewski, tam Długi, dalej Feliks, Zawadzki, markier... Kogoś brak. A prawda — Perlbauma przecież!

— Gdzie Perlbaum?

— Perl, chodź-no! Pan Ignacy pitał sze na czebje!

— Perla tu!

Perlbaum przyskoczył pośpiesznie, obiema rękami trzęsąc podaną dłoń. Zachlipywał się ze wzruszenia:

— Ja wiedziałem... Ja tam w kącie piłem, coby pan Ignacy zdrów był! Pan Ignacy nie mógł się na Perlbauma gniewać, bo on dostał w kark, i też w nim żadnej złości niema. Choć pan ma silną rękę, ojej, jaką silną rękę! To ja teraz usiądę...

— Siadaj pan — zezwolił pan Ignacy łaskawie.

Tatar, kryjący się dotąd za Długim, trącił go w ramię, kiwając na pełne kieliszki.

— Te! Jak myślisz — i ja chyba?... Nie?

Długi wzruszył ramionami.

— Pij! Co masz sobie żałować?

I przechylając się ku panu Feliksowi, stwierdził z melancholijną ironją:

— Niedawnośmy Sikorskiego... he, he... raczyli, a teraz Ignaca... Co?

— Hm... — bąknął tamten.

O SMUTNYM RYCERZU.

*Urywek ze starego rocznika.*

1147. W miesiącu maju widziano na niebie kometę. Jaśniejący wszelkich cnót wdziękiem król Ludwik za sprawą opata Bernarda przypiął krzyż wraz z ogromną liczbą pobożnych i wyruszył w drogę do Jerozolimy. Pociągnął za nim messire Hugo, pan na Bleumont, aliści zawrócił z drogi na wieść, jako pewien niecny rycerz zawładnął jego zamkiem i żoną. Dzięki łasce św. Amanda, naszego patrona, messire Hugo uwolnił żonę z rąk zbrodniarza w nietkniętym zdrowiu i cności. Ów zaś zginął czasu oblężenia. Zmarł opat Petrus. Wybrano Teobalda.

Czy widzieliście krwawy rubin wśród perłowego sznura? Do rubinu wśród pereł podobny był mój smutny rycerz, o którym opowiem. Pamiętajcie samotny irys na smudze białych lilji? Ten wie coś o moim smutnym rycerzu. Idźcie do gaju z koso-drzewin, gdzie jeden tylko chory rośnie dąb, a poznacie mego rycerza.

\* \* \*

Możny to pan, messire Hugo, sieur na Bleumont, dziedziczny władca na Corvenoy i Astourville. Niewielu mu dorówna w słonecznej Prowancji. Dwunastu rycerznych wasali chadza w jego orszaku, siedem pochmurnych wieżyc krwią się co wieczór zalewa na murach zamczyska w Bleumont. Król Arelatu do rady go zowie, przyjacielem mu Savoy'i hrabia; gdy rozjęczą się w Aix wszystkie dzwony, jest jednym z czterech, co niosą baldachim nad arcybiskupa głową.

Bogaty to pan, a hojny, messire Hugo, sieur na Bleumont. Mówią, że nocą do podziemi schodzi przesypywać perły, a one z rąk mu kapiają, jak łzy. Perskiemi dywanami ścielą drewniane zydle i skrzynie, krągłe, złożone tarcze i wysadzane szable kryją mu ściany.

Aleć nie bogactwa są messirowi Hugo drogie, jeno rycerska cześć i młoda żona. Szron bo już Hugonowi srebrem przysypał głowę, szłom twarde włos mu na skroniach wytarł, gdy dziewczkę wwiódł w łożnicę. Wspaniałej naci grono, ustałego wina puhar. Wianem-ci jej złote lica z brzoskwińniowemi puchy, oczy niby turkus rżnięty i srebrny głos. Gdy w śmiechu usta rozchyli, zda się, słońce po komnatach chodzi, blaski siejąc, zda się, róże w ogrodzie pachną.

Dbą messire Hugo o cześć rycerską i rycerskie zwyczaje. Z dziesięciu hełmów barwy pięknej pani wieją, dziesięciu ją opiewa minstrel. Ani brew dumnemu panu nie drgnie. Dbą bo messire Hugo o cześć rycerską i rycerskie zwyczaje: jednego tylko

rycerza ostrzem na turnieju przebił, jednego tylko więzi w ciemnicy minstrela...

Hej, messire, uspiły cię srebrzyste fale!

\* \* \*

Miłość! Miłość!! Miłość to kula złota, to gałąź ponad koronę wyrosła, to sen pachnący, to nieznanego morza wyspa, to białe wrzosi! Miłość!... Cóż o niej powie przekupień i nierządnicą?

\* \* \*

Czemu to dziewczęta wspięły się na palce i wyciągają łabędzie szyje? Czemu kupcy porzucili łokcie, na dzień jarmarczny nie bacząc. Skąd ten szpaler po obu stronach drogi?

Ach, to smutny rycerz z dalekiej wraca wyprawy. Gdzieś nad skalistym wybrzeżem zmógł okrutnego smoka, co, strachem oną krainę pełniąc, pasterzom trzody pustoszył, dziewczki z łąk spędział tańczące. Mnogich kości śmiałków wkoło jaskini legły, póki nie przybył, co go zwojować miał — rycerz smutny.

Smutny rycerz z dalekiej wraca wyprawy. Dwu heroldów na czele bieży z trąbami; cztery związane wozy dźwigają potworne cielsko, a jeszcze zwisa straszliwa paszczęka, pył miotając podwójnym jęzorem. Krwią zlane zielonawe ślepia niby żywe — drżą i chrapią giermkowe konie po bokach. Rozkwiliły się dzieci na matczynych rękach. „Wstyd beczeć, mały! I ty zwyciężysz smoka, jak dorosisz. Wstydźże się, mężczyzna!“ Szepcą między

sobą staruchy. „Chroń nas, Panno Najświętsza! Ponoć dla młodej pani z Bleumont, na jej rozkaz... oj, źle, źle, moja pani!...” Prostują piersi dziewczęta. „Patrz, Blanka, jakie gładkie ma lica! Te oczy, te oczy smutne! Wiesz, Blanka, naszyjnik jej z arabskich pereł przywiózł, córkę emira dał jej za służebną, wiesz? Siedmiu flandryjskich rycerzy pieszo do Bleumont przyszło o uwolnienie prosić, w niemieckich krajach szarfy dla niej z hełmów zrywał! Ach, mój cudny, mój biedny!...”

Smutny rycerz wraca z dalekiej wyprawy. Płoną dziewczęce twarze, falują piersi, biodra się sennie kołyszą. Pocieszyłaby go tam każda: ustami żal starła z oczu, dałaby ustom młode ciało... mój Boże! Westchnienia dziewczęce!... Nie usłyszy was smutny rycerz. Jak znużony sokół, szuka wzrokiem miejsca, dokąd mu serce przyrosło. Do Bleumont iedzie smutny rycerz, dziewczęta!

\* \* \*

Rozdzwoniły się srebrne dzwonki.

— Ha, ha, ha, rycerzu! Twarde są smocze kły, rycerzu smutny?

— Ani jak twój, pani, śmiech twarde, ani jak on błyszczące, pani.

— Ha, ha, ha, rycerzu! Czy ostre są pazury smoka, rycerzu smutny?

— Ani jak twój, pani, śmiech ostre, ani jak on okrutne, pani.

— Ha, ha, ha, rycerzu! Czy głębokie masz na piersiach rany, smutny rycerzu?

— Głębokie są w duszy bruzdy, co je tęsknota ryje.

Śmieje się piękna pani.

\* \* \*

Znowu ruszył się mnich stary z Clairvaux. Nie dość mu, że w ciasnej celi rządu świata trzyma, nie dość, że poucza cesarze i króle, papieżu wspiera. Palcem, od postów wychudłym, wschód świata bodzie, gorejące od umartwień ślepia wparł w ziemię Chrystusowe, srogi głos, jak wicher, po narodach idzie, pośnięte budzi do nowych o wiarę bojów. W niemieckie kraje, do Konrada cesarza ruszył stary Bernard; w słodkiej Francji do ciężkiej, Bogu miłej wyprawy już się zmagają pobożne.

Pobożny to pan, messire Hugo, sieur na Bleumont. Rycerska gwara i końskie rzenie w zamczysku: sam messire ciężką zbroicę kładnie, w głos płacze młoda żona...

\* \* \*

Ciężko padają powieki na senny szafir, jakby chmury na błękit wzeszły.

— Ach, nudzę się, rycerzu!...

— Rozkaż co, pani.

— Żaliś nie wypełnił wszystkiego? Żaliś nie zwalczył smoka?

— Przez ciebie, pani.

— Żaliś mi pięknej Arabki nie dał za służebną?

— Dla ciebie, pani.

— Żaliś mnie w perły nie odział? Żaliś którego rycerza nie zmógł? Żali co do spełnienia zostało?

Jak rozdarty nożem dostały granat są pięknej pani usta.

— Żali nic nie zostało, rycerzu?

— Cóż, pani?

Pięknej pani piersi są jak alabastrowe czary z kroplą krwawego na dnie wina.

— Zostało, rycerzu...

— Co, pani?...

— Cicho, cicho... Nachyl się, rycerzu! Mnie zdobyć — słyszysz?

\* \* \*

Podobna do złotej strzały przesywa rozkosz piersi. Bywają twarde piersi, a zwiotczałe serca, które złota strzała kruszy i w proch strąca.

\* \* \*

Całą noc drżą mury od uderzeń taranów i wojennego zgielku. Messire Hugo własnego dobywa zamku. Krwawa łuna pożaru liże ściany małżeńskie alkowy, pani na Bleumont nagim ciałem pieści młodego rycerza. Piersią na piersi zległa, wargami rozgniata mu usta. Prosi o coś, zaklina.

— Otom ciało ci dała, a duszę zatraceniu... Sokole mój! Ach, słodsze mi twe usta od miodu, więcej upojne, niż wino! Gdy twoje ręce po mej piersi błędzą, drzę cała, i znowu ust twych pragnę! Mój, mój!...

Milczy rycerz. Twardym wzrokiem błądzi po komnacie, nieruchome zwiesił ręce.

— Kochanku mój, sokole! Ty, piękny, spójrz! Otom przed tobą naga, ja, na Bleumont pani. Jak

służebnica wabię cię krasą ku sobie. Spójrz! Moje biodra, jak marmurowe wazy, rozkoszy pełne, moje ręce, jakby różowe wkoło szyi wstęgi! Usta daj, usta!!

Milczy rycerz.

— Daj, ucałuję ślady twych ran! Twe blizny — to zwarte usta: opowiedzą mi słodkie dzieje twych walk dla mnie... Pamiętasz? Śmiałam się, a wargi gorzały krwią wezbraną ku tobie... Przemów! Cemuś mnie zdobył? Zaco gardzisz?

Jak odgłosy burzy rośnie wojenna wrzawa. Wstaje rycerz.

— Nie, nie! Nie odchodź jeszcze! Niema na ten zamek mocy, gdy zechcesz! Ty silny! Ty potężny! Ach, krótkie są dla rozkoszy noce! Pójdź!...

— Ugasł mój żar dla ciebie! Otom zbył skarbu, gdym cię dostał. Ginać mi czas!

— Kochanku mój! To jeno szczęście ślepotą ci na oczy padło! Nie odchodź, nie! Jakże mi żyć bez ciebie?! W gorące wieczory marzyłam, że mnie wezmiesz! Słyszysz? Nie, nie! U proga zlegnę, że nie przejdiesz! Włosy ci wkoło nóg owinę! Nie! Nie siłuj! Nie siłuj! Sokole!...

Żelaznemi dłońmi odrywa ciepłe sploty.

— Puść! Żal za tęsknotą moją mnie woła! Puść!

— Nie, nie! Nie pójdziesz!

— Puść!

\* \* \*

— Aa...aa...aa...

Zdarza się czasem cichy, zduszony płacz kobiecy.

STRASZNY DZIEŃ JANKA.



Ośmioletni Janek siedzi na zwykłym miejscu, wolno popijając bawarkę z ulubionej filiżanki ze szczerbą, przypominającą głowę Turka w fezie. Niby wszystko jest, jak codzień, jak dawniej. Na prawo pękaty samowar sapie głośno, jak gruby, strasznie zmęczony pan na króciutkich nóżkach, którego jeszcze daleka czeka droga; smukła lampa, dla białości szklanego postumentu „panną“ przez dzieci nazwana, rozlewa poprzez matowy klosz, niby przez ślubny welon, sennie łagodne światło; gruszka elektrycznego dzwonka kołysze się nierówno, włącząc po ścianach czarną, pogiętą linię cienia. Wszystko, jak dawniej.

Tylko serce chłopca pełne jest niepokoju. Teraz wie, że ciotka przyjechała specjalnie po to, aby Gieńkę zabrać na wieś, do siebie, a Janek zostanie sam, samusieńki, choć nie rozumie zupełnie, jak to będzie. Przecież Gieńka ma już dwanaście lat, udaje nawet całkiem dorosłą, więc dla niej nie sztuka łagodzić „awantury“ — Janek zaś co? Czuł, że spada nań straszna odpowiedzialność, na którą nie znajdzie siły. A ugiąć się niewolno, ominąć — niepodobna. Gdy pomyśli o tym, drży ze strachu:

jakieś kamienne ręce kładą mu się na piersi, kładą i odejmują, kładą i odejmują... Och!

Idąc na ranny spacer z Marjanną, słyszał, jak grubym szeptem mówiła do sklepiczarki na dole: „Znowuj go caluszką noc nie było...” — „U tamtej?” — „A gdzieby? Godzi się to, moja pani? Pani chora, siostra dziecko zabrać przyjechała, a jemu tylko tamten wycierus w głowie. Obraza Boska z taką służbą, nic więcej!” Janek zrozumiał odrazu, i było mu strasznie wstyd, że u nich „gorzej, niż u żydów“, i przykro za ojca, że „nie taki, jak inni panowie“, i że Marjanna, przed której powagą i pobożnością nielada czuł respekt, tak lekko się o nim wyraża. Ale nie powiedział nic. Cóż on może pomóc? Żle się nawet w tych rzeczach orientuje, bo skąd? Matka obiecuje objaśnić mu, gdy dorośnie, Marjanny zaczepić się boi, a Gieńka... Gieńka może ze wszystkich najgorsza! Nosa drze, udaje, że wiecznie zajęta, z Marjanną w konszachtach — wprost dogadać się nie sposób. Tłumaczyła mu niby kiedyś, lecz głupio i nie wszystko, „bo i tak nie zrozumie“. Dowiedział się tylko, że ojciec zamiast na dom daje pieniądze jakiejś innej pani, i dla tego matka płacze, bo nie można nastarczyć, aż Kasia, pokojówka, musiała odejść, a ona, Gieńka, nie bierze już lekcji francuskiego i muzyki, ani nic — i żeby nie wtrącał nosa w to, co doń nie należy, lecz wsadził go w książkę choć na chwilę, bo pana Sierawskiego tylko, tylko patrzeć. Tak zawsze. Janek zrezygnował już z indagacji, choć widzi przecie, że od jakichś dwu lat całe ich życie

nawspak idzie. I nie tylko widzi, ale czuje to ciągle na nerwach, niby drewnianą piłę, niby czarny na wszystkim całun. Cóż mu po przyczynach, gdy skutki trzymają go w stałym napięciu i trwodze? Co go obchodzi, czemu ojciec nie nocował dziś w domu, ani na obiedzie nie był, gdy wie, czym to grozi? Och, wie zbyt dobrze! Będzie awantura, jak zawsze: wymówki matki, kłótnia, gniewny, nie do zniesienia srogi głos ojca, ostry, przenikliwy płacz, klątwy i ten przemożny, konwulsyjny strach, żeby... żeby ręki nie podniósł, jak na nich, jak na dzieci... Och! Ten okropny strach...

Chłopiec wdycha ciężko. Tak go to męczy! Jest mu, jak wówczas, gdy wyśmiewał się zeń Józek z drugiego podwórka, że nie doniesie do studni baby kamieniarskiej. Janek dzwignął i niósł wolno, powoli, coraz wolniej, a przed oczyma latały mu koła purpurowe, i zielone, i żółte, a zmieniały się szybko, jak w kalejdoskopie. Przy studni padł na swój ciężar, uśmiechnął się do kolegów, później zaś szybko pobiegł do ciemnej sieni, by płakać tam długo, długo... A wcale nie wiedział, czego płacze. Teraz wodzi tęskniami oczami za płaczącym się po ścianie cieniem i wdycha znowu.

Bo coby im szkodziło żyć spokojnie? Ten ojciec! Zawsze surowy, suchy, z głęboką bruzdą między czarnymi brwiami. Janek boi się już samego odgłosu jego zawsze lśniącego obuwia, lęka się szelstu jedwabnej podszewki zdejmowanego w przedpokoju palta. Oto wchodzi do stołowego wykwinny, smukły, nie witając się z nikim. Pochmurnie spo-

gląda na zegarek. „Obiad jest?“ Dzieci siadają do stołu cichutko, bez szelestu. Ojciec nieufnie przeciera łyżkę serwetką, rzucając na matkę uboczne, niechętne spojrzenia. Naraz kiwnął na Kasię. Pokazuje jakąś plamę, ciska serwetką o ziemię. „Cóż to znowu?! Łachmanami usta obcierać?!“ Umęczony głos matki. „Kasiu, podnieś. Daj świeżą“. I zaraz, jakby syk, po francusku: „Możeby mi pani oszczędziła uwag przy służbie... bien?“ Milczenie. Janek oddycha z ulgą. Je nieśmiało. Wtym czuje na sobie iskrzący wzrok czarnych ojcowskich źrenic. Miesza się, drży... „Gdzieś to wyuczył się tego mlaskania? Może ode mnie?! W kuchni będziesz jadał... rozumiesz?!“ Jankowi napływają do oczu ogromne łzy wstydu, czy strachu, w głowie huczy ciężko. Nie słucha, jak matka bierze go w obronę. A tam padło jedno zdanie... drugie... i znowu, znowu tosamo, bez dnia wytchnienia... Nienawidzi wtedy ojca całą siłą duszy.

A pamięta, że nie zawsze tak było. „On“ umie śmiać się, żartować całymi wieczorami, jak nikt. Janek nie zapomni, jak w tajemnicy przed matką, na jej imieniny, kleili w gabinecie zamek rycerski... Ho, ho!... A te wspaniałe historie o Bayardzie, tym, co to „sans peur et reproche...“ Nawet i teraz jeszcze, gdy pokazywał cenzurę od pana Siemrawskiego, same czwórki i piątki... Niby nic. Poklepał go po ramieniu i uśmiechnął się leciutko. Nawet nie rozmarszczył czoła: a Jankowi serce biło z radości długą godzinę... Tylko, że to tak rzadko...

Podniósłszy znużoną i trochę senną głowę, Janek spogląda na matkę. Nic. Siedzi naprzeciwko, z oczyma utkwionemi w ostre refleksy światła na palisandrowej szafie. Błada, zasłuchana w ciszę twarz, jak umarła. Chłopca przeszywa nagły dreszcz niepokoju. O czym ona myśli? O czym wogóle starsi myślą? Tak długo myślą, bez przerwy, całymi godzinami... Oho! Pewnie o ojcu! O tym, że w nocy go nie było, że na obiad nie wrócił... Co to dziś będzie? Nagle Janek wstrząsnął się ze strachu. A jeśli matka dostanie ataku nerwowego? A tu ani Marjanny, ani Gieńki... on sam w całym domu! Co wówczas zrobi? Serce zatłukło w nim gwałtownie, przeczulona wrażliwość podsuwa obrazy coraz straszniejsze. Dostanie ataku z pewnością... jak wtedy, w ten najstraszniejszy dzień! Wtedy siedziała tak samo spokojnie, zamyślona, i naraz ten płacz coraz gorszy, ostrzejszy, jakieś najgłębsze szlochy, zmagania się całym ciałem, aż wreszcie krzyk nieludzki, niesłychany, który Jankowi świdruje w uszach aż dotąd. Jakieś przeciągłe wyćcia, zimnem przejmujący skowyt... brr!! Janek pamięta, jak wyrывała się Kasi i ojcu już na otomanie, gdy, nożem zęby dzwigając, wlewali jej w usta wodę z proszkami. Później jakieś wyrazy bez związku, z łkaniem... okropny, niepoznający wzrok... przerażony płacz jego i Gieńki... Boże, mój Boże! A jeśli teraz tosamo? Chłopiec obserwuje matkę nieufnie, ze drżeniem. Ani się poruszy! Myśli i myśli, jak skamieniała... Z pewnością będzie atak! Żeby choć Marjanna wróciła od kupca...

Janek nie może usiedzieć spokojnie: coś trzeba przecie zrobić, jakoś uprzędzić nieszczęście.

Boryka się ostrożnie z krzeselkiem, żeby nagle hałasem nie zmaćcić napiętej ciszy. Okrążywszy stół na palcach, podchodzi do matki i ciągnie ją leciutko za koniec zwieszzonego szala. Nie czuje. Pociąga mocniej, tuląc twarz do ramienia. Ocknęła się wreszcie.

— Wypiłeś już? Możesz głodny, co? Chcesz chleba z maselkiem?

— Nie, dziękuję... Ja tak sobie, matuśka...

— Pieścić się? Ty kocie mój mały...

Chłopiec wyczuwa na włosach lekkie drżenie głaskających go palców — i znów powraca uciśzony łagodnymi słowami niepokój. Objawszy matkę za szyję rękoma, tuli się do niej coraz serdeczniej.

— Matuśka... Ale ty jesteś spokojna, co?

— Jak to „spokojna“? O co ci chodzi?

— Nic, nic...

Zrozumiawszy, że powiedział głupstwo, gramoli się dla zatarcia wrażenia na matczyne kolana.

— Oho! Ale teraz jestem ciężki, prawda? Jak dorosnę...

Lecz ona powraca do dawnego.

— Poczekaj-no!... Jak to było z tym spokojem?

— Nic... naprawdę nic... Gieńka dziś wyjeżdża, więc myślałam, że ci bardzo żal.

— Widzisz, dziecko... jej tam będzie lepiej, niż z nami...

Dzięki Bogu, wykpił się szczęśliwie! Teraz tylko dużo mówić, póki kto nie przyjdzie.

— A czy to daleko, matuśka? A czy tam ładnie?

— Och, daleko... Byłeś przecie, sam powinieneś wiedzieć.

— Nie pamiętam, to tak dawno... A dla czego wuj nie przyjechał?

— Wuj zajęty, nie może.

— A co robi?

— Gospodaruje... tyle ci razy mówiłam.

— A prawda... To tatuś lepiej, bo inżynier mosty stawia... nawet i dla wojska się przydadzą. Jakby było powstanie...

Naraz urywa, zmieniając niebezpieczny temat o ojcu.

— Ja na wiosnę pójdę do wstępnej, prawda, matuśka?

— Cóż ty dziś z temi pytaniami?

— A bo chciałbym wiedzieć, jak jest w szkole. Prosiłem pana Sierawskiego tyle razy, to nic nie chce powiedzieć, zawsze tylko gramatyka i słówka na jat'. Już wszystko umiem na pamięć, nawet i sufiksy, choć trudne i bez sensu.

Widząc na jej twarzy lekki uśmiech, śpieszy wykorzystać nastrój:

— Wiesz, matuśka... jak Gieńki nie będzie, to nie każ Marjannie zamykać na noc drzwi z dziecinne do kuchni... Dobrze?

— Pocóż to?

— Bo, widzisz, tak ciemno... i ja zupełnie sam...

— Ale!... Co ci tam znowu do głowy przyszło.

Z kuchni zaduch, swąd... I skąd te strachy? Tchórz jesteś?

Zarzut boli chłopca tymbardziej, że nie może jej przecie powiedzieć wszystkiego. Chce mieć tylko Marjanę pod ręką na wypadek awantury, bo ciemności — choć nie jest miła — on, Janek, przyszły oficer powstania, nie lęka się wcale... Ani trochę. A tu zaraz — „tchórz“. Broni się gorąco, wymachując rękami w zapale:

— O, tchórz! Wcale nie tchórz! Zobaczy mama — oho! Ja wiem, że chłopaki biją się w szkole, Władek mi mówił... I myśli mama, że się boję? Ani odrobinki, ani tycio! Jak dam jednemu! Jak dam drugiemu!... Niech mnie który zaczepi, oho! Niedawno na podwórku, tom tak walnął Staśka w łeb...

Niestety! Zbyt sobie późno przypomniał, że niewolno mu schodzić na dół.

— Toś był na podwórku... proszę, proszę... Kiedyż to?

— Nie, matuśka... Tylko chwileczkę — zaraz wróciłem. Bo, widzisz, Gieńka miała lekcję, i tak mi się strasznie nudziło...

— Wszystko jedno. Wiesz, że ojciec tego nie znosi, duży jesteś — czas zrozumieć. Znowuby się gniewał...

Janek spuszcza głowę, zmartwiony. Wymknął się cichaczem przez kuchnię, gdy Marjanna nie domknęła drzwi, sunąc za jej plecami pokryjomu, na palcach... Serce aż mu tłukło z rozkoszy!... —

gdzie tam wówczas myśleć o ojcu! Tym goręcej całuje teraz matczyną dłoń, głaszczącą mu policzki.

— No, no! Nosa do góry, tylko pamiętaj na przyszłość. Czeka! Dość całowania... zdaje się, że ktoś idzie na górę... Co? Tak, tak — ciocia pewnie! Idź-no, otwórz.

Zeskakuje z kolan i biegnie do przedpokoju, nie dbając o stojące tam duże lustro, o którym wie od Marjanny, że ktoby się w nim za długo przeglądał, zobaczy własną śmierć. Jeśli, przebiegając obok, Janek odwraca głowę, to dla tego jedynie, że wcale nieciekaw tego widoku. Przegięty przez poręcz schodów, woła radośnie w dół:

— Gieńka, ty?!

— Ja, ja! Czego?

— Chodźże prędzej!

Dziewczynka w kilku susach jest obok niego.

Pyta niespokojnie:

— No? Stało się co? Gadaj! Ojciec może...

— Nie, nic...

— Toś głupi! Czego się drzesz bez potrzeby?

— A ty nie wymyślaj! Gdzie ciotka?

Z dołu odzywa się energiczny, choć przerywany zmęczeniem głos.

— Idę, idę! Te wasze schody... to akurat do... łamania nóg, nie... do wchodzenia! Uff! Wreszcie! A wy tu co — kłótnie? W ostatni wieczór? Niema co — czułe rodzeństwo...

— Kiedy-bo to Gieńka...

— Nie skarżyć! I tak chevalier narobił hałasu na cały dom. Powieś-no zarzutkę!

Janek spełnia rozkaz z nabożeństwem. Już sam wygląd ciotki jest przedmiotem jego admiracji; wysoka, z ostro wysuniętym, jak u ojca, podbródkiem, o tych samych czarnych, ognistych oczach na wyrazistej twarzy — tchnie mocą i pewnością. Każdy jej giest, każdy wyraz napełnia spokojem duszę chłopca. Nie dziwi go wcale, że, choć młodsza, całuje matkę w czoło, jak małą dziewczynkę.

— Bon soir, Hélène! Wiesz, te wasze wielkomijskie apartamenta na trzecich piętrach nie mają sensu za grosz! Nie lepiej to wziąć, choćby i trzy pokoje, au premier? No, ale passons... Więc za półtorej godziny jedziemy. Zaraz tu przyjdzie hotelowy pour expedier les bagages...

— Jak to? Już? Tak prędko? Ależ...

— Mais si, mais si, prędko! Vous fairiez des adieux toute une semaine, a mój Charles zrobi jakie głupstwo beze mnie. Niema o czym mówić — c'est fait. Twego miłego mari, rozumie się, dotąd nie było?

— Ale, Jeanne, to niemożliwe, ten wyjazd... taki nagły! Co ja mu powiem? Tu le connais bien, tak bez zapytania, bez niczego... wysłać dziecko...

— Kto sam nie umie wychować, musi znosić, że się tym inni zajmą. C'est tout simple. Coście wy zrobili z temi bębnami? Chłopak jakiś... dziwny, dziewczynka ciągle się czegoś lęka... une psychopathe... prawie... Ten jej list do mnie, żebym przyjechała: nerwowy, rozpaczliwy, zupełnie dziecka w tym nie znać!... Si, si!... Wasza wina; nie masz się czego oburzać, ma chère! Vous faites la guerre

na koszt tych malców. Chłopaka ci na razie zostawię, ale Gienia... Elle est dans un âge... tu comprends... Enfin, zabieram ją — et c'est fini.

Janek nie słucha wcale rozżalonej, pół-szeptanej odpowiedzi matki. Nowa dlań wiadomość o liście Gienki wstrząsnęła nim do głębi. Więc to tak? Pisała, żeby ją zabrać... dla tego on zostanie sam! Odczuwa to, jako podstępną zdradę. Poczekaj, Gieniucha! Zobaczysz! Zawrzała w nim głucha zazdrość, że to nie on wpadł na myśl napisania do ciotki. Jegoby wtedy zabrała, napewno... Szybko odwraca głowę, by skryć gorące łzy przed ciotką. Lecz ona i tak nie zwraca nań najmniejszej uwagi, niechętnie potakując matczynym wywodom.

— No tak, no tak, ma chère... nie wątpię, że ci ciężko, wiem, wiem... Lecz, sama przyznaj, ta twoja wieczna ialousie, a przytym siedzenie w tym domu, jakby nigdy nic... Rzuciłabym go natychmiast: albo-albo! A tak co wywojujesz? Ces dames mają sposoby... c'est connu...

Naraz urywa, schwyciwszy na sobie zasłuchany wzrok dziewczynki.

— Moja Gieniu, idź-no pokaż Jankowi ces emplettes, cośmy dla niego zrobiły! Ale nie tutaj, nie! Zapalcie sobie lampę u siebie... tak, tak, adieu!

Podczas rozwijania paczek w dziecinnym Janek trwa w rozżaleniu i uporze. Mimo entuzjastycznych okrzyków siostry patrzy pochmurnie w inną stronę, całą siłą powstrzymując ciekawość. Nie ustąpi, żeby tam nie wiem co było! Pewnie!... Teraz dają prezenta, żeby go pocieszyć... A jakże!

Poczekaj, Gieniucha, myślisz, że się z tobą pożegnami?! Jedź sobie, nie wracaj! — Janek woli nawet, kiedyś taka.

— Janek, Janek! Patrzaj-no! Jest i armatka!... Sama wybrałam, żebyś wiedział! Jak rumniesz... patrz-no!... O, już dał kozła!

Chłopiec odwraca się ostentacyjnie.

— Janek! Cóżes ty, zwarzował?! Patrz-no!... Żołnierze przecież!...

Ani znaku zainteresowania. Gienia szarpie go za rękaw, usiłując zajrzeć w zasepioną twarz.

— Janek! Co tam znowu? Czego się buńduczysz, głupi?!

— Odejdź, Gieniucha!

— Gadajże! Obraziłeś się? Na mnie?

Janek wzrusza tylko pogardliwie ramionami.

— A jakże! Widzę przecież... No gadaj... o co? Prędko gadaj, bo to ostatni wieczór... No, Janek! Zaraz jedziemy!...

— Dużo mnie obchodzi... Jedź, kiedyś się wyprosiła... Nawet lepiej!

— Aha! O to panu bratu idzie... Wcalem się nie prosiła! Przeciwnie, nie chciałam jechać, żebyś wiedział!

— Kłamczuch! Kto list pisał?

— Pisałam, ale tylko żeby ciotka przyjechała zrobić tu porządek... Dużo ty rozumiesz! Skąd miałam wiedzieć, że mnie zabiorą? Aaa!... Widzisz!... Właśnie! Wstyd ci teraz?!

— Wcalem nie wstyd! Bo wszystko jedno, i tak zostanę sam.

— No, Janek, Janeczek... Cóż ja ci poradzę?... Sam powiedz, no! Przecieżes ty już duży... wiesz, że jak każą, to muszę jechać. Jeszcze się gniewasz?... Eee! Naprawdę...

Janek wcale się już nie gniewa, tylko pełen jest głębokiej dla samego siebie litości. Czuje się zupełnie słaby i mały.

— Tak, tak... a jak pojedziesz, to co ja zrobisz? Znowu będą awantury — i co? Tobie dobrze...

Teraz Gienia z kolei opuszcza głowę.

— Janek!... Alem ja wcale nie winna... Naprawdę, Janek!... Ja rozumiem, że mnie łatwiej, bom starsza — tylko co poradzę? No chodź! No, Janek, mój bratek mały...

Pociągnawszy go na starą, wygodną otomanę, dziewczynka głośno pochyloną głowę brata, od czasu do czasu całując długie, ciemne loki. Tuli go, uspokaja. Po chwili dopiero, objawszy ramieniem jego szczupłą szyję, mówi niepewnym szeptem prawie mu do ucha:

— Janek... Ale uważaj!... Jakby była awantura, to musisz mnie zastąpić... rozumiesz, Janek?

W półmroku, wśród kompletnej ciszy, głos jej nabiera jakiegoś tajemniczego wyrazu, z którego wieje chłodny strach. Janka przebiega znowu zimny dreszczyk. Nie odrywając od lampy zastygłego wzroku, szepce żałośnie, niby tłumioną skargę:

— Och, Gienia!... Dzisiaj będzie... Ja wiem, dzisiaj będzie... Co ja zrobię?...

Nowy szept dziewczynki, mocniejszy teraz, jak rozkaz.

— Nie bój się nic... Rób wszystko, jak ja... wiesz przecie... Kiedy zaczną się kłócić... rozumiesz? Jak będziesz widział, że źle — to stawaj między niemi i wrzeszcz, czy płacz, byle głośno... Rozumiesz, Janek — głośno!... I długo... póki nie przestaną!...

— Och, Gienia, ja się boję!... Ja tak się boję!...

— Nie bój się, mówię — nic nie będzie... Oni zaraz przestaną... Tyle razy widziałeś... No, Janek! Przecie ja, baba...

Lecz on nie słucha już, z oczyma pełnemi łez, drżący. Szepce gorączkowo, ściskając jej rękę w gorącej pięści.

— Gieńka, nie jedź!... Ja cię tak proszę!... On ma wtedy takie straszne oczy... ja się boję, Gieńka! On uderzy, z całej siły uderzy, zobaczysz...

— A jak ją uderzy... wtedy co?

Janek płacze cichutko. Wówczas ona znowu pięści go litościwie, z ciężką troską na surowej twarzycze.

— No, Janek, no, Janek... nie becz... Przecież mnie nie bił... prawie wcale... i to nic, a nic nie boli!... Naprawdę, Janek!... Nie jesteś też sam, wcale nie: mówiłam Marjannie, żeby uważała dobrze... zapytaj się, jeśli chcesz. I ciotce powiem niedługo, żeby mnie odesłała... zobaczysz! Że nie będę u nich za nic!... Żeby ciebie zabrała... wiesz!

Janek płacze.

Od stołowego słychać energiczne kroki. To ciotka. Dzieci wypuszczają się momentalnie z objęć;

chłopiec zaciera szybko pięściami ślady łez. Lecz już to spostrzegła.

— O tak! O tak!... Tylko nie mazać się, bo nikt nie umarł! Niema czego! Eh bien, petite, zabieramy się... Zawołaj-no waszej Marjanny, żeby pomogła rzeczy znieść.

I zaraz, podnosząc dwoma palcami brodę chłopca do góry:

— A chevalier czego się maże?! Hm?... Nie cierpię mazgajów, rozumiesz? Nie tłumacz się — widzę!... Masz tu teraz siedzieć i uważać. Jakby co... compris? Matki nie daj, rozumiesz? Marjanna ma też zapowiedziane... No, no...

Łagodząc głos, całuje chłopca serdecznie w czoło.

— Ciotczysko nie takie złe, nie... tylko nie beczć. Jak będziesz się dobrze sprawował, może wezmę i ciebie. No, no... Nous verrons... adieu!

Obietnica przemyka się koło uszu Janka bez oddźwięku. Nie wierzy. A zresztą cóż mu z tego, że kiedyś tam wyjedzie, gdy dziś, napewno dziś, czeka go ta straszna chwila, na którą niema rady. Przez ciągle stojące w oczach łzy patrzy na przedwyjezdne krzątania, nie widząc ich prawie. W myśli, jak palący, jaskrawy punkt, stoi szeptany rozkaz Gieni: „Rzuć się między nich i krzycz, byle głośno!...“ Ach, Boże, Boże! Boi się, okropnie się boi! Gieńka co innego!... Z bolesnym podziwem przypomina sobie, jak kiedyś, podczas najgorszej kłótni, gdy ojciec już pięści zacisnął, blady, z wykrzywionemi usty, i już, już... aż Janek oczy zamknął ze strachu — jak Gieńka wtedy rzuciła się naprzód,



krzyżąc, zwyczajnie krzyżąc na „niego“: „Co też tatuś wyprawia! Niech tatuś idzie!“ I nogą tupnęła, czerwona cała, jak piwonja. Jak on się bał wówczas!... Jak dygotał!... Aż oczy mu się wcale nie chciały otworzyć. Tymczasem „on“ wyszedł rzeczywiście, co prawda trzasnąwszy drzwiami tak, że trzeba było ślusarza wołać do naprawienia klamki.

Tak! Gieńka wcale się nie boi; nie tak, jak on, Janek. Przez umęczoną głowinę przesuwają się podejrzenie własnego tchórzostwa, zalewając serce gorącą falą wstydu. I zaraz znika przed uczuciem beznadziejnej goryczy. Co tam! Niech sobie będzie nawet tchórzem, kiedy nie może poradzić. Niech! Wszystko mu jedno! Byleby uciec przed „awanturnami“, byleby żyć, jak inne, szczęśliwsze dzieci!...

Łzy nie ustępują z oczu ani na chwilę. Postacie żegnających rozpluwają się, toną w łunach ostro przełamane światła. Janek czuje po głosie matki, że musi płakać, lecz jej blada twarz wydaje się tylko matową, rozlewną plamą. Gienia, znowu Gienia! Całuje go, wtykając do rąk jakieś kartki. I znowu szept. „Jakby co, pisz zaraz — Marjanna wrzuci do skrzynki. Pisz, Janek, to cię wydestynę...“ Dobrze, dobrze! Wszystko mu jedno — może i pisać! Teraz głos ciotki, już ze schodów: „Allons, petite! Dépêche-toi!... Au revoir, Hélène! Au revoir!“ Jeszcze łoskot zamykanych drzwi — i już!

Matczyna ręka gładzi go po twarzy, przelaziony głos sili się na spokój:

— A teraz Janek pójdzie do łóżeczka... Późno już, bardzo późno.

Marjanna ujmuje go za rękę szorstką dłonią, mrużąc niecierpliwie:

— Niech-no Janek pójdzie!... Dziesiąta, a tu ani statki pozmywane z kolacji, ani co!...

Wbrew zwykłe stawianemu oporowi chłopiec idzie za nią posłuszny, jak nigdy. Bo co go czeka? Przyjemność żadna, to pewne. A zasnąwszy, nie wie się nic przynajmniej, ani czuje. Żeby tylko prędko, prędko usnąć, zdażyć, nim jeszcze ojciec wróci.

Szybko załatwiwszy wieczorne mycie, Janek siada na łóżku i podaje klęczącej Marjannie bucki do rozwiązania. Korzystając z chwili, gdy jej surowa, poorana twarz nachyla się nad tasiemką, prosi możliwie pokornym tonem:

— Marjanno, moja kochana... Proszę nie zamykać drzwi od kuchni... żeby choć taka maleńka szparka została, dobrze?...

— Niech-no Janek trzyma nogę prosto!... A drzwi pani kazała zamykać, bo zaduch leci. No już! Tera pacierz, prędko!

— Moja Marjanno... Ja tak się boję... no, moja Marjanno!... Bo jak Marjanna nie usłyszy...

Chłopiec lęka się dokończyć, by nie powiedział czego przykrego o rodzicach. Zresztą służąca rozumie odrazu.

— Iii!... Jak się oni biją, to nie Jankowa rzecz! Choćby sobie łby porozbijali... Janek ma spać i już! No dalej! Pacierz!... W imię Ojca, i Syna... O, jak to leci!... Wolno!... Tak... Święć się imię Twoje, przyjdź Królestwo Twoje...

Kłęcząc na łożku, Janek recytuje modlitwy powoli, z namaszczeniem, aby tylko Marjannie dogodzić. Skończywszy, odzywa się raz jeszcze nieśmiało:

— Dobranoc Marjannie. A te drzwi Marjanna zostawi?

— Dobrze, dobrze. Niech Janek śpi!

Tak, rozumie się! Zamknęła za sobą, jak zawsze, mimo obietnicy! Janek czeka chwilę — może sobie przypomni — lecz daremnie... Zeszedłszy z łożka, nasłuchuje trwożnie przez moment. Dolata mruk jakiejś nabożnej pieśni. Chłopiec uchyla drzwi leciusięko...

— Marjanno!... Przepraszam... Przecie Marjanna obiecała...

— Czego Janek lata po nocy?! Spać, bo pani zawołam!

Mocno pchnięte drzwi zatrząskują mu się przed samym nosem. Chłopiec wraca do łożka z zaciętą rezygnacją, zrzekając się dalszych prób. Nie po raz pierwszy się przekonał, że starsi zawsze oszukują tylko, dają słowo, żeby później nie dotrzymać. Zwinęty w kłębek, odwraca się do ściany, jak najdalej od ciemnych kątów. Niech tam! Ostry niepokój zmienił się w uczucie miękkie, choć bolesne, jak śmienię zęba. Zrobił swoje — teraz niech się dzieje, co chce!

Naraz drgnął pod dotknięciem czyjejs miękkiej dłoni. To matka poprawia mu kołdrę, jak codzien. Znany, uspokajający szept:

— Śpij, śpij, dziecko...

— A mamusia też się położy? Prędko?... Prawda?

— Tak, niedługo... Śpij z Bogiem.

Siadłszy na łożku, przytula go do siebie gorąco, szepcząc w piieszczocie, pełnej nerwowego uniesienia:

— Moja syna mała!... Mój skarb złoty, moja pociecha jedyna... Duma moja!... Obrońca matczyzny...

Janek całuje długie, białe ręce z uczuciem przykrej wstydlivosti, którą zawsze wywołuje w nim jej egzaltacja. Z ulgą przewraca się na bok po jej odejściu. Czuje do niej głuchy żal, przetkany serdeczną litością, niby srebrzystą nicią. Przecie mogłaby ustępować, nie odpowiadać ojcu! Przynajmniej takby Janek zrobił na jej miejscu. A zamiast tego jakieś dziwne historie, których zrozumieć nie można. Zawołała go kiedyś, nie tak dawno, do salonu, gdzie rozmawiała z ojcem długi czas, w ciągu którego Janek miejsca sobie znaleźć nie mógł ze strachu. Wszedłszy nieśmiało, zdumiał: stali oboje na środku, matka z głową wspartą na ojcowskim ramieniu, lekko na bok przegięta w objęciu... „Chodź, Janek!... Bliżej!... Pocałuj ojca w rękę!... To najszlachetniejszy człowiek na ziemi!“ Janek cmoknął, ale było mu czegoś wstyd... Widocznie i ojcu, bo strzepnął lekko palcami. „Mais, chérie... mais laissez donc...“ Unikał później Jankowego wzroku przez kilka dni. A potem... któregoś wieczora... znowu...

Eh, co tam o tym myśleć! Dosyć, dosyć! Janek

podciąga kołdrę na głowę, by ujść otaczającej ciemności, i marzy.

Czyni to codzień przed zaśnięciem, stwarzając sam sobie chwile radości czystej i promiennej, jak rozedrgane krople bijącej w słońcu fontanny. Ma nawet kilka gotowych, ulubionych tematów.

Oto na czele lekkiego pułku jazdy sunie Janek jakąś szeroką drogą po równinie, gdzie, jak okiem sięgnąć, drgają w leciutkim wietrze szmaragdowe fale młodych zbóż. Gdzieniegdzie tylko, w oddali, śmieją się doń bielone ściany chałup, chytrze wysuwając iskrzące ślepie okien z gąszczy różanych pąków kwitnących jabłoni i czereśni. Maj. Konik pod Jankiem kary, ze strzałką, szyję ma wygiętą, lśniącą; szabla Jankowa w ręku, jak srebrny promień, akselbanty kołyszą się w kłusie miarowo... raz, raz... Z boku wali wachmistrz stary z wąsikami, jak wiechy... Chorągiewki z tyłu furkają...

Nagle Janek obraca się do wiary, szabelką łysnął — stój! Wydeptaną z boku ścieżyną chłop idzie, z dziwem na to wojsko patrzy.

— A daleko do Krakowa, gospodarzu?

— Aby ino za górkę, panicku.

Czapczysko zdjął, a furt mu się oficer za młody widzi. Serce Jankowe łomoce z dumy. Bo on nie jest zwyczajnym oficerem — nie! On właśnie wygrał okropną bitwę, Niemców wypędził i teraz do Krakowa jedzie na przyjęcie. Jak książę Józef. Czeką tam na Rynku cały lud, procesje naprzeciw wyszły, we wszystkie dzwony biją...

Już i Kraków. Ulice w dywany, w kwiaty strojne...

Janek jedzie stępa, przed nim oddział wiary miejsce robi, bo się przez stłoczoną gawieź przecisnąć trudno. Wiwaty, wrzaski! Wszystkich zdumienie ogarnia, że taki mały... „Na Zamek“, krzyczą: „na Zamek, za króla go chcemy! Vivat Jan Czwarty! Niech żyje!“ Jankowi aż dech zapiera... Szepnął coś staremu wachmistrzowi, ku Rynkowi skręcają, przed Sukiennice... Ryknęły moździerze. Vivat! Vivat!! Z balkonów wstażki wieją amarantowe, białe... chylą się stare sztandary... Janek rękę u kasku trzyma... W strzemionach stanął na moment, przez głowy patrzy... Są, są! Z konia przed estradą skoczył, biegnie po schodach, klęka... Długie, białe ręce do piersi go tulą, słyszy radosny szep: „Synu mój... dumo moja!“ A już i ojciec rękę mu ściska... w czoło poważnie całuje... Janek nie oddałby tego uścisku za nic! Gieńka patrzy nań z boku nieśmiało, nie wie, jak się zachować... Janek uśmiecha się łagodnie: „Jak się masz, Gienia... Cóż u ciotki słyszeć!...“ Jest i pan Sierawski.

Czar przysł. Widok pana Sierawskiego, szybkim ruchem gładzącego czarne baczki, przypomina Jankowi niedouczoną dzisiaj bajkę Kryłowa. Sennie rozmyśla, że trzeba będzie jutro wcześniej wstać. Czy aby zdąży? Odpycha tę sprawę z niechęcią, starając się wrócić do przerwane go marzenia. Całą siłą chce stanąć znowu na krakowskim rynku, nawet brwi ściąga, by się skupić... napróżno. Poco zresztą? Ma przecie inny temat, niezawodny.

Gieńka czytała mu kiedyś w Wieczorach Rodzinnych przesłiczną powieść pod tytułem: „W dzie-

wicznych lasach Ameryki“. Historia o małej dziewczynce, która wraz z rodzicami i służbą przedziera się przez brazylijskie puszcze, w celu, w celu... Janek zapomniał już w jakim, ale to wszystko jedno. Dość, że dziewczynka ma włosy tak złote i jasne, że są piękniejsze od najprawdziwszych złotych nici. Ach, są wprost precudne! Janek nie widział ich nigdy, a zdaje mu się, że są tu... obok niego... na poduszce, pachnące i takie złote!... Włosy tak przedziwne, że nawet dzikie plemiona Indjan — co to z za drzew wydmuchują zatrute strzały — poznawszy się na nich, porwały dziewczynkę, by czcić ją, jako bóstwo. Jest tam również i mały kuzyn tej dziewczynki... Wspaniała historia! Najzabawniejsze, że Gieńka, czytając, nie podejrzewała nawet, iż ów mały kuzyn to właśnie nikt inny, tylko Janek, Janek we własnej osobie. Ot teraz właśnie zsiada z muła na obszernej polanie, gdzie karawana stanęła na nocleg. Jego niby-wuj obchodzi okolice dla zbadania, czy wypadkiem wśród gąszczy ljan nie przyczaiła się jaka puma, czy pantera, by ubić im które ze zwierząt pociagowych. Janek idzie za nim ze strzelbą, gotową do strzału każdej chwili. Naraz wuj wydaje okrzyk zdziwienia. Pod największym z drzew znajdują niezgrabne kosze, pełne zapasów żywności, a wśród pachnących owoców Janek spostrzega niewielką kartkę. „To od niej! Od Lily!“ — „Daj, chłopcze! Prędej!“ Wuj czyta mu przez ramię: „Tatusiu! Jestem zdrowa! Te dzikusy modlą się do mnie całymi dniami. Kazałam zostawić dla was trochę jedzenia. Dążymy w kie-

runku południowo-wschodnim“. Niby-wuj żegna się nabożnie, a z jego oczu płyną łzy radości. Janek popłakuje również, lecz wcale nie z radości, tylko z tęsknoty za złotymi włosami. Dla ukojenia i ukrycia smutku (bo Janek wstydzi się niewiadomo czego) wychodzi poza obozowisko, gdzie ma mu się zdarzyć przygoda z lampartem. Tymczasem ku własnemu zdumieniu znajduje się w obszernym przedsiönku, skąd prowadzą na górę schody, pokryte czerwonym chodnikiem z mosiężnymi klamrami. Dziwi go to strasznie, lecz nagle przypomina sobie, że to przecież hotel, w którym staje ciotka. A prawda! Jasne przecie, jak słońce! Teraz tylko na górę, na drugie piętro. Idzie przez długie korytarze, znowu schodzi na dół, wreszcie jest na rozległym podwórku. Wkoło, na piętrach, biegną balkony takie same, jak w biurze, gdzie pracuje ojciec. Oho, już słyszy jego głos. Krzyczy o coś na pana Sierawskiego. Ale zaraz, zaraz... o co? Pan Sierawski kłania się tylko i mówi, że Janek nie umie bajki Kryłowa. Janek chowa się za wystający filar, by nie wpaść w oczy ojcu. Jak on krzyczy!... Czego się tak gniewa? Gieńka wsuwa mu do ręki jakieś kartki. Aha! To żeby pisał... dobrze. Pana Sierawskiego już niema. Na kogo ojciec krzyczy? Nagle obija mu się o uszy wzburzony głos matczyny... i zaraz potym przykry huk i brzęk rozbitego z siłą talerza. Brrumm!...

Zbudzony nagłym łoskotem, Janek siada na łóżku, przecierając zaspane oczy. Chwila ciszy. I naraz chrapliwy z wściekłości, rozkazujący krzyk ojca:

— Taisez vous! Taisez vous, vous dis-je!!

— Nie, nie!... Dosyć milczałam! Dość cierpiałam! Przepeliła się moja cierpliwość, dosyć! Ty, ty śmiesz mi wyrzucać... ty!... Żem zła matka, że godności domu ci nie podtrzymuję?!... Ha, ha!... Ty — i godność, ty — i dom! Ha, ha, ha!! Na żebractwo ci dzieci idą...

Janek nie słucha dalej. Jest awantura, jest! O, Boże, Boże! Co tu począć, co tu zrobić! Gorączkowemi ruchami odrzuca kołdrę, spuszcza się na zimną podłogę... Jak oni krzyczą! Co to będzie bez Gieńki! Nagle zrywa się i na dygocących nogach biegnie ku drzwiom kuchennym.

— Marjanno!... Proszę na chwilę... Marjanno!

Z za drzwi dolatuje tylko gęste chrapanie. Krzyki ze stołowego nie ustają.

— Marjanno! Marjanno!

Chwyta za klamkę. Zamknięte. O, Boże! Dobija się teraz z całych sił.

— Marjanno! Marjanno!

Nic i nic. Tylko jakiś mruk niewyraźny. A tam znowu grzmi ojcowski bas:

— ...Assez! Ani słowa!! Wstyd mi pani całe życie robisz!! Nic od pani więcej nie miałem!

Zamknęła się i nie chce otworzyć! No tak! No tak! I co dalej?! „Rzuć się między nich i płacz, czy krzycz, byle głośno...” Nie, nie! Za nic! Janek słyszy głośne kłapanie własnych zębów. O, Boże, Boże! Zaco to na niego? O, Boże, Boże!

Rzuca się ku drzwiom i cofa znowu. Nie, nie!

Łkając bezdźwięcznie, kłeka naraz przy łóżku. Ostry chłód podłogi przesywa jego nagie kolana.

— W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego, amen... Ojcie nasz... Któryś jest w niebie... święć się imię Twoje...

— ...całą noc! Jak łotr! Tfu!

Krzyki nie ustają ani na chwilę! Krótkie teraz, rwane, jak psie warknięcia.

— Zazdrość, że młodsza, co?!

— ...przyjdź Królestwo Twoje... bądź wola Twoja...

Naraz Janek urywa. Łka już głośno w poduszkę, wyrzucając co moment gorączkowym szeptem:

— O mój Boże! O moja Boziu kochana! Niech się oni nie kłóca... niech już przestaną... Ty wiesz przecie... że ja nic... nie mogę... poradzić... O moja Boziu!... Moja najukochańsza!... Niech się nie kłóca!...

— Milczeć mi, bo!!

— Właśnie! Ladacznica! Sto razy powiem!! Ty!... Ty...

— Milczeć!!

— ...o Boziu, o Boziu najukochańsza!...

— ...Uderz, ty — podły! U...

Janek wyprostowuje się gwałtownie w straszonym napięciu. Serce bije wolniutko... raz... dwa...

Jezus, Marja!! Uderzył!!

Chłopiec zrywa się z kolan i pędzi do stołowego ze skamieniałym w gardle krzykiem.

ZDARZENIE.

*Panu Władysławowi Kłyszewskiemu.*

Po zmierzchu już wjechali w Bodziejowskie lasy. Dwa tęgie cugowe niosły leciutko elegancki woliczki po rozmiętej od deszczów drodze. Zaraz po zachodzie zaczęła się tu między paprociami włóczyć wilgoć, niby mokre szmaty; z każdą chwilą szmaty rozciągały się, wzwyż rosły, aż pod milczące korony olbrzymich sosen, zwycięską ścianą zawały szeroką drogę, do snu po rowach zległy. Zimno.

Karski wyczuwał przez rękawiczkę ostry chłód trzymanej dubeltówki. Od miejsca zetknięcia biegły wzdłuż ręki tysięcznymi krokami lekkie dreszczyki, i bawiło go wysiłkiem woli zatrzymać je u ramienia. Ani piędzi dalej! Chwila wahania, jakby popłochu w ściśniętych szeregach, deptanie się na miejscu — i stop! A już ze zwiniętej dłoni nowy oddział pnie się szybko ku górze.

Wkrótce jednak szykowne letnie palto przestało chronić go przed wilgocią. Karski spojrzał zazdrośnie na ogromny koc towarzysza i zawrzała w nim szczerza niechęć. „Sam się, głupiec, nie domyśli! Na prośby czeka! Belfryna!“ Wsunął się gwałtownie w róg pojazdu, popychając „profesora“ bez żadnej ceremonii. Ten uchylił się usłużnie, z po-

śpiechem i wraz począł mówić rozrzuwionym, pełnym śmieszaków głosem:

— Pan nie śpi? I ja nie mogę... Czuję, jak ten spokój leśny, ten ostry zapach wzmacnia, powraca mi siły, zdrowie! Bo niech pan tylko wciągnie powietrze w piersi... co? Te igły sosnowe, paprocie, żywica! Ach, panie! W mieście tego za żadne pieniądze nie kupi... He, he, he... W szkole brud, zaduch, w domu żona się biedzi... Już od początku roku neurastenijka za progiem czeka, doktor rączki zaciera... he, he... Tak, panie, u nas...

Odpowiedzi nie było.

— Na wsi i ludzie lepsi. Taki pan hrabia... Po wozem, panie, jedzie własnym, kłaniam się z ulicy skromnie, bo gdzie... rozumie pan... a on wysiada, wypytuje, zaprasza do siebie, do majątku... A niby co ja dla niego? Że uczyłem go kiedyś ze dwa lata? Miły Boże!...

Karskiego znudziła ta gadanina do cna. Mierzył go nawet sam nędzny wygląd natrętnego rozmówcy. Przerwał mu ostro, zwracając się do wóznicy, którego tęgie bary rysowały się przed nim w ciemności, jak złom kamienny.

— Michał! Daleko jeszcze?

— Aby za górkę przewalić, zaraz będziemy!

— A nie wiesz... W leśniczówce ma ktoś czekać?

Gajowy obrócił się gwałtownie i niejasne podejście wyjrzało z jego przystojnej, męskiej twarzy. Uciał sucho:

— A tego, jaśnie panie, to nie wiem. Wio, małe!

Karskiego również odbiegła ochota do pytań. Zdenerwowanie, nie opuszczające go już oddawna, wracało nową falą. Poco on, u diabła, jedzie na to głupie polowanie? Trząść się milami, nocować po leśniczówkach — a wszystko, żeby swemu „wysokourodzonemu“ przyjacielowi, Władkowi, hrabiemu — psiakrew! — ułatwić wyjazd z żoną do matki, żeby się nim, jako gościem, nie krępował. Poco on wogóle tutaj przyjeżdża? Poco siedzi? Eh, do kroć!! Rzucić przyjaźnię, pożyczkę, stosunki!... Tak, tak, a Zagaje zlicytują, jak Bóg na niebie...

Zdawało się takie proste. Powiedzieć Władkowi wprost, jak dawniej, kiedy się jeszcze w Niemczech o dziewczyny zakładali: „Pożycz-no, grafie, tyle i tyle...“ Całe to hrabstwo kpin było warte! A tu naraz grzeczności, ale jakies zbyt subtelne, serdeczność, jakby trochę protekcyjna... O pieniądzech słowa wykrztusić niepodobna. Siedzi od tygodnia, przysięga sobie co wieczór — i nic! Do diabła! Do diabła!

Poprzez drzewa zamigotały oświetlone okna jakiegoś domostwa, niby wystraszone ślepia. Dojechali. Karski lekko zeskoczył, z rozkoszą prostując zziębnięte członki, i poszedł przodem, ani dbał o towarzysza. Nagle zalała go struga światła z rozwartych drzwi. Ktoś usuwał się przed nim, chichocząc, a z jakiegoś kąta obszernej izby biegł mu na spotkanie starczy, schrypnięty głos:

— Kaj cię niesie, ścierwo! Jeszcze swoje za noc odrobisz, nie bój się!

Oślepiony buchającym na kominie ogniem Kar-



ski ledwie rozeznał leśnika pod łachmanami na ławie.

— Pochwalony. A cóż tak klniecie, dziadu?

Stary zwłókł się ciężko i całował rękę pańską z mamrotem. Zgarbiony był jakoś nad miarę, nogi, niby cudze, za sobą ciągał, policzki wklęśły mu się głęboko pod kaprawami ślepiami.

— Siedźcie! Trzęsie was, czy jak?

— Oj, trzęsie, trzęsie, jaśnie panie! Już ta nie rok i nie dwa... do grobu napędza. A tu dziewczka ani pić poda, ani okryje, ani obiad uwarzy, jak się patrzy... Proszki, co od jaśnie hrabini przysłane, ze śmieciem precz wymietła! Aby jej do chłopów! Suka, nie córka!! — rozżarł się znowu.

Młody, dźwięczny głos odkrzyknął wesoło z poza drzwi:

— Sameś ojciec kazał, a teraz gadanie! Pensję bierzecie za nic, to wam i strach, coby nie struli!

— Łżesz, pieskie nasienie!!

— Ano, wasza córka!

Stary aż się zakaszłał z wściekłości. Pluł długo, ocierając rękawem żółtawe kłaki na twarzy i przytrzymując oburącz nadszarpniętą pierś.

Nareszcie i profesor wygramolił się ze swego koca. Wszedłszy do izby, wraz począł głupawo podmigiwać Karskiemu i szeptać głośno, wyszczerzając spróchniałe zęby.

— Uuu... sikorka! Widział pan? He, he...

Karskiego poderwało wewnątrz. „To bydlę, no!“ Z głębokim wstrętem patrzył na ostantacyjne

chowanie rąk przed powitaniem starego, z pogardą słuchał łaskawie zawstydzonych powiedzeń:

— Ale co wy, przyjacielu... nie trzeba... skądże...

„A bydlę!“ Ze strachu, że nie pohamuje wzbierającej złości, Karski wyszedł zarządzić kolację. Śród ciemnej nocy za progiem stanął, nasłuchując parskania koni; po chwili dopiero wpadła mu w oczy czarna masa wolantu i dwa splecione obok niego cienie. Doleciał go gniewny, zduszony szept:

— To ci zapowiadam: aby mi z którym co... ubiję, psiakrew!

I zaraz dźwięk pocałunku i obojętnie pieszczotliwy głos:

— Głupis, Michał.

— Zapowiadam! Żeby ci nawet we łbie nie powstało!!

— Ehe! — mruknął Karski.

— Michał!

Oni już go spostrzegli i rozłączyli się bez pośpiechu.

— Słucham, jaśnie panie!

— Później odprzeżesz, kolację wydaj!

Dziewczyna wracała do izby wolno, jakby nigdy nic. Przechodząc koło Karskiego, otarła się oń całym ciałem. Moment. Ledwie dojrzał uśmiechnięte usta, a nim się obrócić zdołał, już mu za drzwiami znikła. „Aha — Władkowa niespodzianka!“ Ręka podniosła się mimowolnie do wąsów i przyglądziła włosy.

Za chwilę siedzieli już wszyscy przy długim stole, panowie u nakrytego białym obrusem końca,

gajowy skulony w przeciwnym rogu. W powietrzu zawisła ciężka i smaczna woń jajecznicy z szynką. Karski oglądał dziewczynę z pod przymrużonych powiek. Była przecudna. Stojącą hardo w łunie buchającego ognia zdawały się rozbierać te blaski i oddawać wszystkim oczom. Krwawe ramiona ognia tuliły się z głuchym rykiem do opiętych bioder, sięgały po wysoką pierś; jasne strugi rozpylonego złota padały we włosy, na twarz i odchyloną szyję, pieściły zmysłowy szkarłat ust, paliły iskry w tajemnie sennych źrenicach... Jakby w miłośnej kąpieli naga, otrząsała bryzgi świetlne niedbałymi ruchy, pyszniąc się tym dorodnym ciałem coraz zuchwalej...

Karskiemu rozdeły się nozdrza i oczy nabrały twardego połysku. Już się nie marszczył, patrząc, jak rozemglony wzrok profesorzyny oblepiał, niby śliską cieczą, wspaniałe kształty; przeciwnie — słuchał chciwie niemrawego gaworzenia i chichotów:

— A co, a co, klejnocik, perełka!... Nie mówiłem? I panu ślinka idzie... hi, hi, hi... Dziewczynka, jak cukiereczek! Edukowane to po dworach, bez mała parle franse — po ubraniu widać! A kiedyś znałem i mamusię tej panienki... Malowanie, powiadam panu! Co zaś do tego, to i owszem: na prawo i na lewo... hi, hi... Tylko że młody byłem, zasady wzbraniały...

— Ciszej! Stary słucha!

Profesor skurczył się momentalnie.

— Nie... przecież ja nic... tak sobie baję.

Wszedł Michał. Spojrzawszy bacznie po zebra-

nych, nachmurzył się i bez słowa siadł obok starogo. Dziewczyna nakrywała teraz do stołu, rozstawiając talerze, składając misternie wydobyte z kosza serwetki. Gdy wypadło przechodzić koło którego z mężczyzn, opierała się na nim przez chwilę z miną senną, spokojną...

Karski patrzył na one szczególne manewry, nie dziwiąc się ani trochę. Cały mózg zajęło mu pragnienie jej piękności; myślał, jakby językami ognia. Znowu wyczuł na twarzy gorącą prężność jej piersi, gdy, nachylona, stawiała coś na stole z umyślną niezręcznością. Zatrzymać przy sobie! Niech trwa chwila! Raptem zaświtała mu ostra pewność: „Będzie moja. Dziś jeszcze“. I oddał się całej radości tej jednej myśli. Spojrzawszy z przekornym uśmiechem na pochmurnego Michała, zatrzymał jej rękę w swojej lekką pieszczotę. Pytał łaskawie:

— A gdzież to cię uczyli tak ładnie nakrywać?

Wzrokiem błądzi wkoło pulchnych, spragnionych ust.

— W Śmiałowicach, jaśnie panie. Joasia mnie zwać.

— Sługiwałaś?

— Chowałam się od maleńkości, później za młodszą.

Ani jednego uśmiechu. Tylko piersi szybciej falują.

— A teraz?

— U ojca, od kiedy panienka zamąż poszła.

Puścił ją, domyślając się jakichś tajemnych ma-

nipulacji profesora pod serwetą. A już i stary zacietrzewił się znowu:

— Cie ją! Panienska jej na zawadzie! Pięć rubli brała na miesiąc, żarcia, co wlezie, to i sparło. Łaziła za paniczem, jak ta suka, aż wypędzili!... Na łeb!

Michał splunął w kąt uczenie i z pogardą.

— Tfu! Starzyście, a byle co gadacie... jeszcze przy panach.

— Musi wiem, kiej gadam!

— Niektóre wiedzenie też lepiej w gębie trzymać, bo nie pachnie.

— A tobie do niej co?! Aniś jej brat, ani mąż, choć więcej dziewczki pilnujesz, niż lasu!... Ino na nic ci się wszystko, Michał, zdało; na sakrament nie złasisz — wyżej patrzy... he, he...

— Mnieśta się teraz czepili? Nie strzymacie! Próżne wasze ujadanie, kiej taka wam rodzona, jak i mnie.

— Cie go, juchę! A tobie kto powiadał?!

— Minęliśwa pana z Górek, Andrzeja, i kłania się wam pięknie. Bajanie! Bez to złość was trzęsie, coście nijak do waszej pod pierzynę nie trafiali; zawždy już tam były cztery nogi gotowe...

— Bodajeś zmarniał! Widziałeś?!

— Ja tam tych dziwów nie ciekawy... Ino miarkuję, żeście musieli gnaty słoniną mazać, coby nie skrzypiały, a i to kobieta z sękatego kija większąby miała uciechę.

Rozzalił się stary.

— Ej, Michał, choroby nie wydziwiał, bo i nad

tobą jest ręka Boska! Galant! Za młodu dwuch-bym takich przeskoczył, póki mnie drzewem nie przywaliło... Jeszcześmy razem z Sikorą Maciejem...

Zaniosło się na długie opowiadanie, którego jednak nikt nie słuchał. Myśli mężczyzn omotały dziewczynę gorącą siecią i zawisły na niej. Milczała w ciągu tej rozmowy, jakby o inną szło; tylko od czasu do czasu plątały się w kątach jej ust uśmiechy drwiące. Pewna już swej władzy, powściągliwszą się stała, a każdej pieszczocie powolną; nabrała ruchów miękkich, falistych; żrenice jej zwilgotniały, wargi rozchyłały się w oddechu, jak róże.

Karski poweselał na dobre. Sytuacja przypomniła mu lata pierwszej kipiącej młodości, owe sprawy junackie i przygody miłosne, z których był sławny, jak nikt. Teraz powziął plan prosty i zwycięski: pofolgować wyraźnym afektom profesora, wysunąć go na pierwszy ogień, a gdy już będzie u celu, jednym strzałem ubić myśliwca i zwierzynę. Sam pijąc niewiele, dolewał wciąż sąsiadowi i z głośnym w duszy śmiechem pozwalał mu na ukryte poufałości względem Joasi. Bawił się. Odesławszy na szary koniec butelkę tęgiej nalewki, nawet dziewczynę do wypicia kieliszka przymusił; nieustannemi żartami trzymał ją przy sobie, czuły na najłżejsze dotknięcie.

Wódka zrobiła swoje. Pod koniec wieczery było już coraz głośniejsze i goręcej: raz w raz darły powietrze gęste śmiechy, zaczepki niewybredne, a złośliwe, nawet Michał rozchmurzył się zupełnie.

Poprzez siny dym tytoniowy słabo czerwieniały dogasające węgle. Izba mroczyła.

Ścisnąwszy dziewczynę mocno za rękę, Karski wstał i wyszedł na powietrze, gdzie długo błędził między drzewami w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca. Jest. Jakieś krzaki w ustroniu o sto kroków. Skradając się do wolantu, zabrał profesorski koc i, poklepawszy konie, wrócił z cenną zdobyczą. „No, wszystko. Byle mi się tylko dureń z nadto nie rozkleił!“ Czekał, drząc z niecierpliwości i niepokoju, a przed oczyma stała mu ciągle wysoka pierś i pulchne ponsowe usta.

Czekał długo, strasznie długo. Zimno nocne przejęło go lodowymi szpilkami. Szczękał zębami, z oczyma, wlepionymi w stronę domu. Nagle w jasności roztwartych drzwi ukazała się Joasia. Stała chwilę, rozglądając się uważnie, a już profesor parł się ku niej na niepewnych nogach. Karski zbliżył się szybko, cichymi krokami... Chude pizczcele czepiały się dziewczęcych rąk, wtykały jej coś za gors; drżący, zająkliwy chucią głos szeptał urywanie:

— Masz tu... o, jeszcze!... Poczekaj... Tylko jeden raz...

Nabiegłe śliną usta ledwie wyrzucały wyrazy. Karski rozdzielił ich sobą gwałtownie i, nim przeszło oszołomienie profesora, zabrał dziewczynę, jak swoją. Objąwszy ją silnym ramieniem, prowadził bez oporu, mówiąc prawie z gniewem:

— Cóż to, pieniądze bierzesz, głupia?! Od takiego?

— Kiej pan sami dają...

— Rzuć to zaraz! Rzuć, mówię!!

Gorączkowo szukał w pugilaresie.

— Masz, za stanik wetknij! Daj, sam włożę!...

Dochodzili już do krzaków. Wisła mu na rękę coraz ciężej, a po nim wary biegły. Wtym uczuł dotknięcie zimnej dłoni: profesor dopędzał ich z rozrzuconymi włosami, o błędnym spojrzeniu.

— Panie, panie Karski, mój panie!... Dla pana wszystko jedno, a mnie... choćby raz w życiu... Taka dziewczyna!... Mój najstarszy panie... raz w życiu!...

Karski wyrzucił wściekle z za zwartych zębów:

— Odczep się pan, psiakrew!!

— Panie, ja tak proszę... Joasiu!...

— A do starego djabła!!

Pchnięty naodlew, profesor padł, jak długi. Słychać było coś, niby płaczącą skargę, później szybki bieg w stronę domu.

Dziewczyna przełękła się zajścia. Ale miękki opór podniecał tylko Karskiego.

— Nie bój się, głupia... Czego? Taki tam dureń!

— Boję się...

— Cicho, cicho... No, pokaż oczy... o tak!

Przyciskał ją do siebie coraz goręcej. Nozdrza drgały mu raz po raz, szybki dech rwał piersi. Ledwie słyszał swój przytłumiony szept:

— Słuchaj, ty... Joasiu... Do siebie zawiozę, do domu... Suknie ci sprawię... będziesz chodziła, jak pani... Czego się bronisz?... Wezmę i tak, głupia!... Joasiu... kochanie... poczekaj-no... o tak! Jeszcze, jeszcze...

— Boję się...

Siłą stanik zdierał, całował szyję, ramiona i piersi odkryte. Drżącemi rękoma pieścił całą jej postać, a ona mdlała mu prawie na rękę. Tylko gdy ku ziemi ją cisnął, broniła się ostatnim odruchem...

— Nie, nie... panie, nie...

Ani na to zważał zapamiętały. Nagle wydarła się ze zduszonym krzykiem:

— O Jezu, Michał!

Gajowy wychodził wolno z za krzaków. Ponury był, a oczy gorzały mu, jak świece. Karski zerwał się.

— Czego tu?!

— A tego, coby jaśnie pan dziewczki poniechał! Na Chrystusa pana proszę!

Mówił dobitnie jakoś i groźnie.

— Precz, kiedy nie wołałem!!

— Jaśnie panie, bo będzie z nami źle!

Bez namysłu Karski trzepnął z dołu, w same zęby. I prawie jednocześnie uczuł cios w głowę i drugi, poniżej piersi, tak straszny, że z głuchym jękiem zatoczył się gdzieś pod krzaki. Gdy przyszedł do siebie, doleciał go nieludzki, ze strachu oszalały skowyt:

— Ady nie za włosy, Michał!!!... Nie za włosy!!

— Milcz, ścierwo sobacze!!

— Michał! Michał! O Jezu!!

— Ubiję!!

Zerwał się i biegł za niemi bez myśli. Właśnie, wwalwszy dziewczynę do wolantu, chłop ruszał,

stojąc na stopniu. Karski uczeplił się gorączkowo z tyłu za metalową poręcz.

— Stój! Stój!!

— Znowuś tu?!

Świst bicia i straszne razy w nachyloną głowę.

— A masz! A masz!!

Sekundę trwał bez ruchu, trzymając w dłoniach twarz posiekaną. Z piersi wydzierały mu się jakieś gardłowe, niepowiązane dźwięki. Raptem puścił się do izby, jak wiatr. Niewidzącemi oczyma namacał dubeltówkę, naboje — i wypadł pędem. Wolant ginał już w lesie. Karski wypalił, nie mierząc. Chwilkę słuchał... tylko śmiech urągliwy z oddali... Karski zaszlochał głośno. A później już tylko nabijał i walił, nabijał i walił...



193388 11

## SPIS RZECZY.

	Str
Altruista . . . . .	1
Barowska . . . . .	19
Wyznanie . . . . .	41
Wacek . . . . .	57
O czarownym ziele i rycernym pasie . . . . .	65
W cukierni . . . . .	73
O smutnym rycerzu . . . . .	109
Straszny dzień Janka . . . . .	119
Zdarzenie . . . . .	147

---